NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — **Do Niemiec:** Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — **W Ameryce:** Kwartalnie 7 kor. 55 hal Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatnie stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

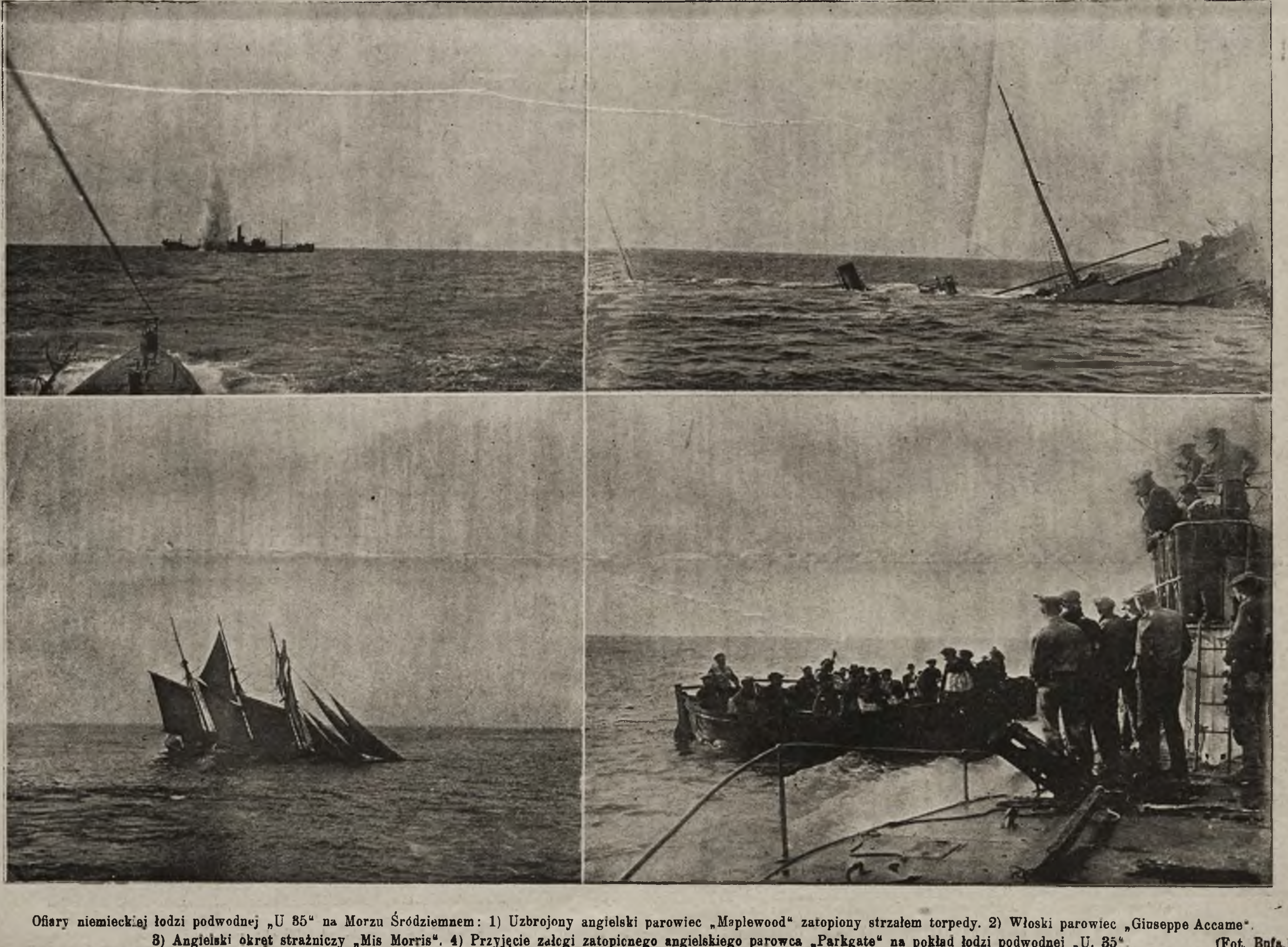
Główny skład na Królestwo Polskie: **Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.**

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. **Kraków, 29. września 1917.** **Nr. 39.**

80.000 ton w 28 dniach.



Ofiary niemieckiej łodzi podwodnej „U 35“ na Morzu Śródziemnem: 1) Uzbrojony angielski parowiec „Maplewood“ zatopiony strzałem torpedy. 2) Włoski parowiec „Giuseppe Accame“. 3) Angielski okręt strażniczy „Mis Morris“. 4) Przyjęcie załogi zatopionego angielskiego parowca „Parkgate“ na pokład łodzi podwodnej „U. 35“. (Fot. Bufa.)

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym kończymy III-ci kwartał XIV-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto prenumeraty do dnia **6 października** nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumeratę **z Austryi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie . . . . . 20 koron
Półrocznie . . . . . 10 „
Kwartalnie . . . . . 5 „

80 000 ton w 28 dniach.

(Do illustracyi tytułowej).

Działalność łodzi podwodnych mocarstw centralnych nie osłabła bynajmniej w ostatnich czasach, choć mniej się o nich i mówi i pisze, zwracając całą uwagę na sprawę ewentualnego zakończenia wojny światowej i zawarcie tak upragnionego pokoju, który zda się już być bliskim, zwłaszcza po nocie papieża Benedykta i odpowiedzi na nią mocarstw, w szczególności zaś Austryi i Niemiec.

Dyplomacya robi swoje, nie przeszkadza to jednak kierownictwu militarnemu, że wytęża wszelkie siły, by być gotowem na wszelką ewentualność.

Zwłaszcza walka łodziami podwodnemi, które okazały taką nadzwyczajną sprawność, wre ciągle z jednakiem nasileniem na wszystkich morzach, wyrządzając koalicyi nie dające się wprost obliczyć szkody. Tonaż zatopionych okrętów przeniósł już miliony, marynarka handlowa, zwłaszcza angielska, ucierpiała tak poważnie, iż wiele czasu będzie potrzeba, nim zdoła powrócić do pierwotnego swego stanu.

Z jaką zaciętością prowadzą mocarstwa centralne walkę morską przy pomocy łodzi podwodnych, świadczy bilans działalności niemieckiej łodzi podwodnej „U. 35“, która w dwudziestu ośmiu dniach zatopiła na Morzu Śródziemnem cały szereg nieprzyjacielskich okrętów o pojemności, przekraczającej ośmdziesiąt tysięcy ton.

Między innymi zatopiono w tym czasie włoski parowiec „Giuseppe Accame“, angielski okręt strażniczy „Mis Morris“, angielski parowiec „Parkgate“, oraz uzbrojony angielski okręt „Maplewood“, jadący z Tunisu do Anglii z ładunkiem 5175 ton rudy żelaznej na pokładzie. Jedno ze zdjęć, zamieszczonych na illustracyi tytułowej, przedstawia właśnie wybuch torpedy, wyrzuconej z łodzi podwodnej „U. 35“, na ten statek.



Król saski w Krakowie: Król Fryderyk August III. (X) na Wawelu w otoczeniu świty: 2. Marszałek kraj. Niezabitowski, 3. namiestnik jen. pułk. hr. Huyn. 4. komendant twierdzy, mar. pol. por. Guseck, 5. komemedant wojskowy, mar. pol. por. Brandner, 6. wiceprez. namiest. dr. A. Fedorowicz, 7. podpułk. sztabu jeneralnego Tinz, 8. prof. politech. Szyszko-Bohusz. 9. sekr. Bogdani.

Komendantem łodzi „U. 35“ jest kapitan Arnauld de la Perière, wielokrotnie już za swe męstwo odznaczony.

Król saski w Krakowie.

W dniu 9. września b. r. przyjechał do Krakowa osobnym pociągiem w powrocie z wschodniego



Z frontów bojowych: Ogólny widok miasta Comines we Flandryi, ostrzeliwanego silnie przez Anglików w czasie ostatniej ofenzywy.

frontu król saski, Fryderyk August III., w otoczeniu świty. Pociąg zatrzymano niedaleko dworca głównego, przy dawnym magazynie towarowym, gdzie król spędził noc. Nazajutrz, o godzinie $8^1/_2$ rano, odbyło się uroczyste przywitanie przybyłego gościa. Na dworcu zjawili się na powitanie króla: namiestnik hr. Huyn z adjutantem hr. Schaffgotschem, oraz komisarzem drem Sobolewskim, komendant twierdzy krakowskiej, marszałek polny porucznik Guseck z pułkownikiem Grammem, komendant wojskowy, marszałek polny porucznik Brandner z podpułkownikiem Kolbenheyerem, komendant dworca osobowego, porucznik dr. Gertler, naczelnik stacyi st. inspektor Stephan, następnie wiceprezydent namiestnictwa dr. Adam Fedorowicz, marszałek krajowy St. Niezabitowski, wiceprezydent miasta J. K. Federowicz, kierownik policyi krakowskiej, radca Krupiński, oraz komisarz Warczewski.

O godzinie $8^1/_2$ rano wyszedł król saski w towarzystwie swojej świty z wagonu i przywitał się z oczekującymi go dygnitarzami, poczem udał się samochodem na Wawel ulicą Floryańską i Rynkiem, oraz ulicą Grodzką.

Na placu przed dworcom osobowym, oraz na ulicy Lubicz żołnierze 33 pułku strzelców tworzyli szpaler. Z powodu pobytu króla saskiego w Krakowie ozdobiono gmachy rządowe flagami o barwach państwowych.

Dodać należy, że przedtem, o godzinie $7^1/_2$ rano, udał się król Fryderyk August w towarzystwie podpułkownika Tinza na mszę świętą do kościoła Maryackiego, skąd powrócił o godzinie ósmej na dworzec na śniadanie.

Na Wawelu oglądał król saski najpierw wystawę grobów wojennych, a następnie restauracyę Zamku królewskiego, oprowadzany przez konserwatora dra St. Tomkowicza, w towarzystwie marszałka krajowego, St. Niezabitowskiego i profesora Szyszki-Bohusza. Między innemi zwiedzono salę poselską z pięknym stropem, malowanym przez Hansa Dürera oraz bardzo ładny strop drewniany w sali pod Izbą poselską.



Z frontów bojowych: Zniszczony przez nieprzyjacielskie pociski kościół w Gheluvelt, na wschód od Ypern, we Flandryi. Na pierwszym planie niemiecki grób wojenny.

Po obejrzeniu Zamku udali się wszyscy do katedry, gdzie przybycia króla oczekiwali księża prałaci dr. Wądolny i dr. Chotkowski. Gościa saskiego objaśniał profesor hr. Mycielski. Po zwiedzeniu katedry, skarbca i grobów królewskich, udał się król Fryderyk August III. do Muzeum Czartoryskich. Następnie odbyło się u namiestnika, hr. Huyna, śniadanie. Popołudniu zwiedził król saski dalsze pamiątki Krakowa, poczem udał się do Królestwa Polskiego, do miejscowości, gdzie się toczyły walki. Odjazd nastąpił o godzinie 7.40 wieczorem.





Powitanie metropolity Szeptyckiego we Lwowie:
Metropolita Szeptycki wsiada przed dworcem kolejowym do przystrojonego kwiatami powozu. Deputacya ruskich Sokołów przed katedrą św. Jura.



Z frontów bojowych: Ruiny starożytnego zamku w Hollebeke, na terenie nowych zaciętych walk we Flandryi.

Powitanie metropolity Szeptyckiego we Lwowie.

Po trzyletniej prawie tułaczce poza granicami kraju, powrócił w dniu 10 września b. r. do Lwowa metropolita grecko-katolicki, hr. Andrzej Szeptycki.

Na przyjęcie wracającego do swej stolicy dostojnika Kościoła, zebrali się w poczekalni dworskiej dworca kolejowego, pięknie kwiatami i dywanami przybranej, członkowie komitetu powitalnego, grecko-katolicka kapituła, reprezentanci organizacyi ukraińskich, komendant miasta, jenerał major Nowotny, rzymsko-kat. arcybiskup, ks. Bilczewski z kapitułą katedralną, zastępca komisarza rządowego Lwowa, radca dworu Fiedler z Radą miejską, zastępcy władz, wielu posłów ruskich, na czele z wiceprezydentem Izby, Romańczukiem, niemiecki konsul jeneralny, dziekan wydziału teologicznego uniwersytetu, prof. Gerstmann, rabin izraelickiej gminy postępowej, dr. Guttmann i rabin żydów ortodoksalnych, dr. Braude, delegacye i wiele dam.

Przed godziną trzecią pojawił się na peronie arcyks. Wilhelm i przy dźwiękach hymnu ludów

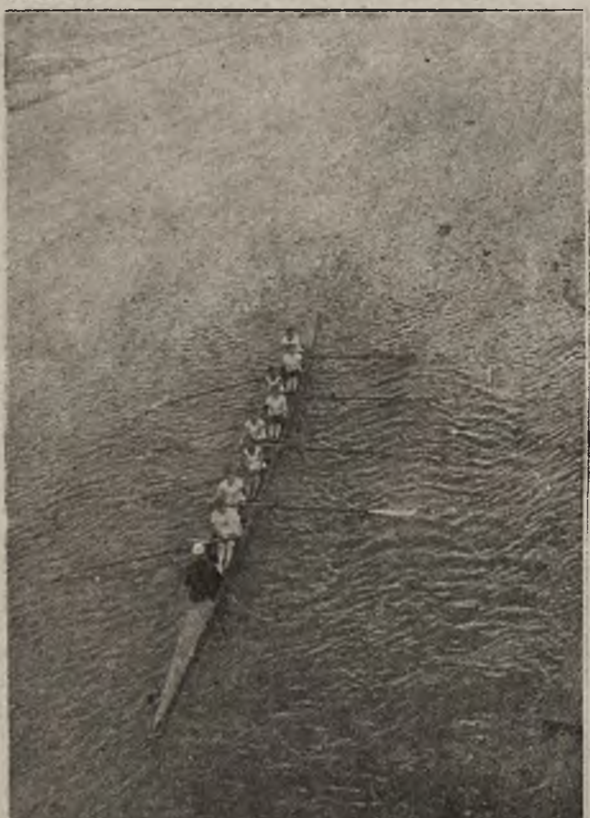


Z frontów bojowych: Plac Cesarski w Comines we Flandryi po ostrzeliwaniu podczas ostatniej ofenzywy angielskiej.

przeszedł przed ustawioną tam strażą honorową pułku piechoty.

Metropolita przyjechał w wozie salonowym, umyślnie przez zarząd państwowy dla niego przeznaczonym. Arcyksiążę Wilhelm powitał metropolitę imieniem cesarza. Metropolita wyraził podziękowanie za ten zaszczyt. Gdy potem metropolita wraz z arcyksięciem weszli do poczekalni, powitały ich gromkie okrzyki: „Mnohaja lita!“ Mowy powitalne wypowiedzieli: arcybiskup ks. Bilczewski, zastępca komisarza rządowego Fiedler w imieniu miasta, w imieniu żydowskiej gminy dr. Wasser i dr. Braude, wkońcu przewodniczący komitetu powitalnego dr. Fedak i poseł Kost Lewicki.

Arcyksiążę i metropolita opuścili dworzec w po-



Sport wioślarski w Krakowie: Osemka pań. (Fot. inż. Skibka i Wisłocki).

wozie, ustrojonym kwiatami. Podczas całej drogi do katedry grecko-katolickiej szpaler tworzyło duchowieństwo grecko katolickie, uczniowie i uczenice szkół, członkowie organizacyi ukraińskich ze sztandarami, ukraińskie towarzystwa gimnastyczne, bractwa grecko-katolickie i procesye kościelne. U wrót gmachu katedralnego powitał metropolitę poseł Zahajkiewicz w imieniu Ukraińców, a przed katedrą kanonik ks. Wojnarowski. W katedrze odprawiono nabożeństwo, zakończone kazaniem, poczem metropolita krótko wszystkim podziękował. Wieczorem odbyło się u metropolity przyjęcie.

Zgon wybitnego polskiego prawnika.

Nauka polska poniosła znowu dotkliwą stratę.

W dniu 17. b. m. zmarł nagle w Warszawie Leon Papieski, jeden z najwybitniejszych polskich prawników w dawnym rosyjskim zaborze, zwłaszcza w dziedzinie prawa karnego, którego był niepoślednim znawcą. Pozatem był to wybitny działacz społeczny i esteta niezwykłej miary, ogólnie szanowany i ceniony dla zalet swego charakteru i serca.

S. p. Leon Papieski urodził się w roku 1858, w Słucku, gubernii mińskiej.

Po ukończeniu wydziału prawnego na Uniwersytecie w Warszawie, ś. p. Papieski piastował kolejno urząd podprokuratora w Samarkandzie i Kiszyniewie, rychło jednak, trawiony tęsknotą do kraju, wzgardził otwierającą się przed nim karyerą biurokratyczną i powrócił do ziemi ojczystej, gdzie odrazu stanął w pierwszych szeregach żarliwych, niezmordowanych pracowników społecznych.

Wkrótce też wybił się i zabłysnął ś. p. Papieski, jako świetny obrońca sądowy, zwłaszcza w zakresie spraw karnych i politycznych. Ileż osób z epoki rewolucyi i porewolucyjnej w r. 1905 i 1906 zawdzięcza Papieskiemu swoje ocalenie! Ta właśnie działalność obrończa zataczała coraz szersze kręgi, wysuwając Papieskiego na czoło naszej palestry, która też zaofiarowała mu w magistraturze polskiej jeden z najwyższych urzędów — stanowisko wiceprezesa sądu apelacyjnego w wydziale karnym, a więc stanowisko najstarszego sędziego karnego w Warszawie.

Poza szrankami sądowemi brał Papieski żywy udział w pracy społecznej, uczestnicząc we wszelkich szerszych przedsięwzięciach o charakterze ogólnonarodowym lub dobroczynnym. W życiu politycznem zaznaczył się jako jeden z przywódców „Polskiej Partyi Postępowej“.

Subtelnie wrażliwy wobec wszelkich objawów piękna, umiłował szczególnie sztuki plastyczne i, jako wytworny esteta, zgromadził w zaciszu swego domowego ogniska pierwszorzędne dzieła sztuki, które z czasem złożyły się na jedną z najcelniejszych naszych galeryi prywatnych. Otaczał też serdeczną



Zgon wybitnego polskiego prawnika: Zmarły w Warszawie adwokat przysięgły, ś. p. Leon Papieski.

i gorliwą pieczą sprawy sztuki i artystów, jako członek komitetu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych.

Już podczas wojny zaczął ś. p. Papieski interesować się bliżej sprawami naszej emigracyi stałej i sezonowej i z właściwym sobie zapałem oddał się pracy na tem polu w sekcyi emigracyjnej w Towarzystwie pracy społecznej.

S. p. mecenas Papieski pisywał też artykuły treści społecznej i prawnej w prasie codziennej i peryodycznej, brał udział w kilku kongresach dziennikarzy słowiańskich w Austryi.

Nagły zgon wybitnego obywatela-jurysty wywołał szczery żal w całem polskiem społeczeństwie.



Po zajęciu Rygi: Spichrze zbożowe w porcie Rygi, spalone przez Rosyan (Fot. Bufa)

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

17

Dzbanek tak silnie zadrżał w ręku młodej kobiety, że trochę wody plusnęło na podłogę.

— Patrz! Co robisz?! — krzyknęła świekra — Podłogę zalewasz!... Niezdara!... I czego ty do kuchni łazisz!... Nie możesz zadzwonić?... Naturalnie, tobie się chce po wszystkich kątach węszyć i do garnków zaglądać!... A może na kuchennych schodach kawalera jakiego upatrujesz? Toby było coś w sam raz dla ciebie!

Z zaciśniętymi zębami, bez słowa, poszła Józia do swego pokoju. Tylko ogniste wypieki i falująca pierś świadczyły o wzburzeniu, jakie nią miotało.

Gdyby nawet mówić chciała — nie zdołałaby, tak ją dławiło w gardle.

Ze stukiem zamknęła drzwi za sobą, postawiła dzbanek na umywalni i zatopiwszy ręce we włosach, jęła biegać po pokoju, jak uwięzione, zrozpaczone zwierzę po klatce.

— Boże!... Boże!... Zmiłuj się nademną!... Co ja mam robić?!... Co ja mam robić?! Jak żyć tutaj?!... Kto mi pomoże?! Kto mi doradzi?!... Jaka ja jestem sama, sama... i bezradna!...

Po chwili uspokoiła się trochę, wypiła łyk zimnej kawy, usiadła przy stole i oparła na ręce rozpalone czoło.

— Ona ma racyę! Co ja tutaj mam swego? Nic!... Trochę tych nędznych łachów! Nawet tyle nie mam, żebym sobie bilet kupić mogła, gdybym chciała odjechać...

Pochwyciła ręczną torebkę, wyjęła z niej portmonetkę i gorączkowo zaczęła przegrzebywać zawartość.

Wypadło kilka żelaznych dwudziestohalerzówek i jeden dwukoronowy banknot.

— Przecież ja niedługo na marki nie będę miała!... Skąd tu wziąć pieniędzy?... Napisać do ojca?! Nigdy!... Do Anielki? Także nie! Pożyczyć? Od kogo?...

Wreszcie po dłuższym namyśle powzięła postanowienie.

Z zamykanej szuflady w komodzie wydobyła niewielką szkatułkę z czarnego drzewa, w której przechowywała pamiątkowe klejnociki po matce: zegarek złoty z łańcuszkiem, sznurek korali, broszkę z perełkami i pierścionek z turkusem.

Zdecydowała się, że coś z tego sprzeda, ale żal jej było rozstawać się z pamiątkami. Długo oglądała każdy przedmiot po kolei, aż wreszcie odłożyła na bok broszkę, przeznaczając ją do sprzedania.

Nie miała jednak pojęcia, jaką to może mieć wartość i nie wiedziała, gdzie szukać nabywcy. Kogo zapytać?... Służącą? Niepodobna!

— Może Łuniewski... — przemknęło jej przez głowę, ale zaraz odrzuciła tę myśl, jako niedorzeczną.

— Muszę sprzedać!... Muszę przecie mieć choć na marki...

Przez skojarzenie wyobrażeń, marki przywiodły jej na pamięć smagłą, o płomienistych oczach twarz urzędniczki pocztowej.

— Larchówna! Tak, ona! Pójdę do niej dzisiaj jeszcze. Przecież mnie zapraszała.

Józia spojrzała na stojący na kominku zegar. Wskazywał dziesięć minut po szóstej. O szóstej zamykano pocztę. Zastanie więc Larchównę w domu.

Bardzo szybko ubrała się i wyszła.

Kiedy odsuwała zatrzask w przedpokoju, uchyliła się ciężka pluszowa kotara i z głębi mieszkania wyjrzała Lola.

— Teraz na spacer?... — zapytała panna Żarnicka z nieukrywaną ironią. — Tak późno?... I dokądże to, jeżeli wolno wiedzieć?... Pewnie wybierasz się na schadzkę... O tej porze właśnie urzędnicy wychodzą z biur...

Zaśmiała się głośno i szyderczo.

Józia miała już na dzisiaj dosyć tych ukłuć.

— Idę, gdzie mi się podoba! — zawołała i trzasnęła drzwiami za sobą.

Już na schodach żałowała swego gniewnego uniesienia.

— Po co ja jej tak ostro odpowiedziałam?... Lepiej było może zmilczeć... Ale czy one powaryowały z temi schadzkami?! Właśnie mnie teraz schadzki w głowie... Doprawdy, tak mnie to już złości, że, gdybym mniej kochała Konrada, tobym sobie istotnie urządziła jaką „randkę"... Przecież znalazłby się jeszcze jaki „fatygant"...

Uśmiechnęła się leciutko, przeświadczona, że znalazłby się napewne i to nie jeden.

Zamyślona, schodziła ze schodów. Zastanowiła ją złośliwa aluzya Loli o zamykaniu biur. Cóżby to miało znaczyć?...

Józia nagle przystanęła i uderzyła się ręką w czoło.

— Aha! To jej pewnie o tego Łuniewskiego chodzi!... Także się wybrała!... Co mnie do niego!... Ja przecież nie jestem temu winna, że on tak jakoś do niej nie bardzo...

Przecięła rynek i skierowała się na ulicę Długosza.

Nowa myśl błysnęła jej teraz w głowie i ścisnęła jej serce bolesnem, trwożnem przeczuciem:

— One mnie obmalują przed Konradem!...

Po chwili jednak odpowiedziała sobie z ufnością kobiety zakochanej i pewnej wzajemnej ufności:

— On przecież nie uwierzy!...

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Proszę! — zabrzmiał niski, dźwięczny głos Larchówny.

Wchodzącą do pokoju Józię owionął silny, zmieszany, duszący prawie zapach kwiatów.

Pełno tam było kwiatów, niby w sklepie ogrodniczym: polnych i ogrodowych, ciętych i w doniczkach.

Stały na stole, na stolikach, na oknie, na ziemi: w szklanych flakonach, porcelanowych wazonach, w glinianych dzbankach i doniczkach.

Wielkie bukiety bzu, czeremchy, konwalii, misterne wiązanki fiołków, luźne więzie rumianków i chabrów, kwitnące w wazonach róże miesięczne i białe, różowe, lila hyacynty.

Drugą cechą charakterystyczną tego, skądinąd bardzo skromnie umeblowanego mieszkanka, była pokaźna ilość książek. Zapełniały one oszklona szafkę i etażerkę o kilku półkach, kilka nieoprawnych tomów leżało na stole.

Larchówna, ubrana w ponsowe „kimono", gotowała na „primusie" herbatę.

Jej ogromne, krucze, faliste włosy, splecione w dwa warkocze i puszczone luźno, wiły się po plecach, odcinając od ponsowej materyi, jak długie, czarne węże.

Na widok Józi jakiś błysk zadowolenia mignął w oczach urzędniczki.

— Pani Józia!... A to niespodzianka!... Już przestałam oczekiwać, bo tak kombinowałam, że choćby pani miała odrobinę ochoty, to sroga świekra gotowa panią za taką eskapadę... postawić do kąta.

Zaśmiała się, a śmiech miała dziwnie ładny.

— Czy nie przeszkadzam? — zapytała trochę nieśmiało Józia, przestępując próg.

— Cóż znowu!... Bardzo jestem zadowolona, że panią widzę! — uścisnęła mocno rękę młodej mężatki i pociągnęła Józię ku wąskiej, krótkiej, szarem płótnem obciągniętej sofce.

— Niechże pani siądzie na tym niezbyt paradnym, ale najmiększym w tym lokalu meblu... Napije się pani ze mną cieniutkiej herbatki?

— Chętnie. Ależ pani pokój, to istny ogród, a co książek!

— Bo kwiaty i książki to są moi przyjaciele najlepsi! — odparła Larchówna — Co prawda, budzi to w Łykowie wielkie zgorszenie, że ja, marna poczciarka, wydaję tyle pieniędzy na „badyle" i na „szpargały". Ale ja dbam o te gadania, jak o śnieg zeszłoroczny, nawet mniej...

— Ach! Te łykowskie gadania! — westchnęła Józia.

— Co? I pani już dokuczyły? — Larchówna powróciła do maszynki i zgasiła ją, bo woda już kipiała.

Józia nie odpowiedziała. Patrzyła na Larchównę, uderzona w tej chwili jej oryginalną urodą więdnącej cygańskiej krasawicy.

Z podziwem przesunęła wzrok po jej niezwykle długich i gęstych włosach.

Larchówna spostrzegła to.

— Ciężą mi włosy — rzekła — cierpię na bóle głowy...

— Prześliczne ma pani włosy...

— E! Co mi z tego!

Przysunęła do sofki niski, okrągły stoliczek, nalała dwie szklanki herbaty, jedną postawiła przed Józią, a drugą zaczęła pić sama.

— Na przekąskę pani nie proszę, bo mam tylko „wojenny" chleb z „wojenną" marmoladą. U Żarnickich z pewnością jada się nieco wykwintniejsze przysmaki...

Józia za całą odpowiedź machnęła ręką. Kąty świeżych ust młodej kobiety zagięły się w dół, postarzając twarz wyrazem goryczy i zniechęcenia.

Czarne oczy Larchówny spojrzały na nią przenikliwie, ale jakoś ciepło.

Gospodyni wstała i wyciągnęła szpilkę z kapelusza gościa.

— O tak! Niech pani zdejmie kapelusz.

Pieszczotliwym, macierzyńskim ruchem powiodła po puszystych, lśniących splotach Józi.

— O! Cóż za minka zasępiona! I jakie oczka smutne!... Jak to biedne dziecko zmizerniało!... Przygasło!... Ciężko pani, prawda?

Józia nie próbowała nawet przeczyć. W milczeniu poddawała się tej pieszczocie, spragniona dobrego słowa. Na rzęsach młodej kobiety wisiały krople łez, gotowe za chwilę spłynąć.

— No! Nie płakać!... Łzy to najmniej produktywna rzecz, a człowiek musi być praktyczny! Rozumie pani, musi!... Bo życie jest twarde!... No, pijmyż tę herbatę, której największą i jedyną zaletę stanowi to, że jest gorąca.

— Przepraszam panią za moje dziecinne zachowanie się! — szepnęła Józia.

— Niechże pani da spokój... Właśnie mnie to cieszy, że pani zachowuje się szczerze.

Zaczęły pić herbatę i przez chwilę piły w milczeniu, obserwując się nawzajem z ciekawością, u Larchówny bardziej wyraźną i bezceremonialną, a u młodej Żarnickiej więcej dyskretną.

Jednej i drugiej cisnęły się na usta zapytania, których wyrzec nie pozwalała delikatność. Wreszcie Larchówna odstawiła swoją szklankę i zaczęła:

— Wie pani, ja nie lubię sytuacyi niejasnych i drażliwych niedomówień. I dlatego nie chciałabym, aby między nami... Nie chciałabym żeby pani wpadała na trop jakichś fałszywych przypuszczeń, czy podejrzeń... To też wolę powiedzieć pani prawdę, niż czekać, aż kto inny opowie bajdę...

Józia zarumieniła się mocno, bo domyśliła się, o czem Larchówna chce mówić.

— Musiała pani pewnie słyszeć o tem, że przed kilku laty byłam prawie że narzeczoną Konrada Żarnickiego?...

Zapanowała chwila kłopotliwego milczenia.

— Wyraźnie mi nikt nie mówił, ale tak coś napomykano...

— Niechże się pani tak nie czerwieni, bo ja tę całą rzecz traktuję bardzo prosto i naturalnie... Było tam coś, nawiasem mówiąc, wielkie głupstwo, minęło i niema... Nie mam do męża pani żadnego żalu, ani żadnych pretensyi, a tem mniej do pani samej... Żarnicka uderzyła oczywiście wówczas w wielki dzwon na alarm. Starała się nawet o to, aby mnie z poczty wyrzucono... Niepotrzebnie się zresztą tak lękała, bo i bez jej gorliwej interwencyi nicby z tego nie było... Byliśmy bowiem stosowni dla siebie, jak... no, nie chcę wysilać się na porównania...

Józia, słuchając ze spuszczonemi oczyma, stała się już tak prawie czerwona, jak ponsowe „kimono" Larchówny. Nielitościwie gniotła i skubała jednę ze swoich rękawiczek, przy której oberwała już wszystkie guziczki. Żałowała w tej chwili, że przyszła tutaj.

Larchówna spojrzała na nią i przerwała swoje opowiadanie.

— Pani Józiu, cóż to za raki?!... I czego pani tak się znęca nad tą nieszczęsną rękawiczką?!... Ech! Widzę, że moja szczerość wywołuje zupełnie niepożądany skutek...

Zaczęła śmiać się szczerze, swobodnie, naturalnie.

— Prawda, zapomniałam, że z pani jeszcze pół-dziecko, no i młoda mężatka!... Ja tam te sprawy trochę inaczej biorę!... Miałam już czterech narzeczonych i wszystkich wspominam w zupełnej równowadze ducha... No, ale ja jestem twór Boski trochę dziwny, a osobliwy... Jeszcze się pani czerwieni? Zrobiłam pani przykrość?...

— Przykrość właściwie... ale... tak... ja... — bąkała młoda kobieta.

— Dobrze, dobrze! Nie będziemy już o tem więcej mówiły, chyba, że pani sama zechce. Dlatego zaczęłam o tem wogóle, aby panią przekonać, że narzuciłam, bo szczerze mówiąc, narzuciłam swoją znajomość bez jakichkolwiek ubocznych celów. O!! Poprostu dlatego, że mi się pani spodobała, jak rzadko kto.

Gospodyni wstała, zebrała szklanki i talerzyki, cukiernicę i odstawiła to wszystko na bok.

Sięgnęła potem do skórzanej, leżącej na stole papierośnicy i zapaliła papierosa. Usiadła na sofce tuż przy Józi i przez chwilę wpatrywała się w kółka błękitnawego dymu. Paliła z wprawą wytrawnego, namiętnego palacza.

— Pani pali może także?... — zwróciła się do swego gościa.

— O! Nie... nie palę.

— Lepiej. Głupie przyzwyczajenie, a w obecnych czasach to nawet mocno kłopotliwe i kosztowne... Ale moje nerwy tak już przywykły do papierosa, że ani rusz... To jak nałogowemu pijakowi bez wódki...

Zgniotła wypalonego papierosa w popielniczce, założyła nogę na nogę i objąwszy kolana rękami, obróciła się ku Józi.

— Więc, jak powiedziałam, podobała mi się pani... Wtedy na stacyi, kiedy zobaczyłam panią po raz pierwszy...

— Pani także odprowadzała kogoś bliskiego?

— Nie, nie odprowadzałam nikogo. Poszłam poprostu przez ciekawość... Chciałam wiedzieć, jak też wygląda młoda pani Żarnicka, o której słyszałam już to i owo.

— Aha! — przemknęło Józi przez głowę. — Więc jednak...

Larchówna, jakby odgadując tę myśl, wyjaśniła:

— Niech pani tylko fałszywych wniosków nie wyciąga, bo w tej mojej ciekawości nie było nic więcej, jak tylko ciekawość... Nic z tego, co Niemiec nazywa „Hintergedanke“... I gdyby mnie pani specyalnie nie zainteresowała, to napewne nie starałabym się zapoznać... Chyba pani czuje, że mówię prawdę...

— Tak...

— Ale pani mnie wzięła... No, wzięła mnie pani... Tak odrazu, od pierwszego wejrzenia... Patrzę, a tu takie dziecko śliczne, milutkie, taka urocza, słodka dziewczynka... I te oczy, niby figlarne, a przecież trochę melancholijne...

— Proszę pani...

— Komplementów nie potrzebuję pani mówić, bo się ich pani z pewnością aż do znudzenia od mężczyzn nasłucha... Natomiast otwarcie powiem, że sama nie umiem wytłumaczyć sobie tej mojej dla pani sympatyi... Bo tak naogół, to wcale nie lubię tego typu kobiet, do jakiego pani, zdaje się, należy...

— A do jakiego typu ja należę? — rzuciła nagle z zupełnie szczerą ciekawością Józia.

— Właśnie do takiego, który sobie nie zdaje z tego sprawy, jakim jest...

— Nie rozumiem...

— Nie szkodzi. Pani prawdopodobnie wielu rzeczy nie rozumie, ale pani z tem do twarzy... Józia poczuła się lekko dotkniętą.

— Pani mnie uważa widocznie za bardzo głupią...

— Nie za głupią, tylko za taką, która bardzo mało rozumuje... Pierwszy popęd uczucia, czy temperamentu, to grunt u pani...

— Słusznie pani mówi — przyznała Józia po chwili namysłu. — Taka rzeczywiście jestem, chociaż chciałabym się zmienić...

— Zmienić się?... Po co?...

Pod wpływem ciepłego prądu szczerości i sympatyi, jaki szedł od tej oryginalnej, czarnookiej dziewczyny, Józia roztajała szybko i wyzbyła się swojej chwilowej nieufności.

Chętnie i żywo, z wrodzoną swoją gadatliwością, odpowiadała na pytania Larchówny. Opowiadała jej o Krakowie, o Pradze, o Anielce Walczakowej, trochę o swoim pobycie u ciotki.

Niewiele wprawdzie mówiła o swych stosunkach rodzinnych, a jeszcze mniej o Konradzie, jednak i to, co powiedziała, wystarczało, aby tamta — starsza i bardziej przenikliwa — mogła się domyśleć wielu rzeczy...

Larchówna nawzajem kreśliła stosunki, panujące w Łykowie, ze zwykłym sobie, trochę rubasznym, a trochę zgryźliwym dowcipem, charakteryzowała niektóre, znane Józi tylko z widzenia, damy z łykowskiego „towarzystwa“...

Zaczynało się już ściemniać. Pośród ożywionej rozmowy czas mijał szybko. Józia nie zapomniała jednak o głównym celu swoich odwiedzin i już od chwili zastanawiała się, jak to ma właściwie powiedzieć Larchównie, od czego zacząć.

Tamta niespodzianie przyszła jej sama z pomocą. Przerwawszy sobie opowiadanie o prezesowej Kasztalińskiej i jej „dobroczynnej“ świecie, zapytała nagle:

— Proszę pani, coś mi się tak wszystko zdaje, że pani tu nie bez kozery dzisiaj zajrzała do mnie... Ma pani jakiś interes? Cóż, mylę się, czy nie?...

— Nie, nie myli się pani. Ja rzeczywiście chciałam panią o coś zapytać...

— I dotychczas pani tego nie wypowiedziała? Ejże! Chyba się pani zaraziła od mamy Żarnickiej chińskiemi ceremoniami i nieszczerością...

— Pani może będzie zdziwiona... Ale ja tutaj mam tak mało znajomych, a nikogo z życzliwych... Nie wiedziałam, doprawdy, do kogo się zwrócić...

— I mnie pani wybrała. To mnie bardzo cieszy, ale proszę skrócić te niepotrzebne wstępy i omówienia... Prosto z mostu!... O co chodzi?...

Józia rada była, że w pokoju jest już mroczno, więc Larchówna nie może widzieć dokładnie jej twarzy.

— Widzi pani, jabym chciała sprzedać...

Urwała, jakby jej tchu zabrakło.

— Sprzedać? Co takiego?...

— Broszkę złotą, a nie wiem, ktoby kupił — ciągnęła Józia dalej, śmielej już nieco — myślałam, że mi pani może doradzić...

Larchówna przysunęła się do niej bliżej i wzięła ją za rękę.

— Pani chce sprzedać swoją broszkę? Dlaczego?...

— Bo mi bardzo potrzeba pieniędzy... — wyznała cichutko Józia.

— Na jakiś wielki, nadprogramowy wydatek?... Może na jakąś niespodziankę dla męża? — badała dalej Larchówna.

— Nie... Tylko tak, na drobne wydatki...

— I pani na to nie ma?...

— Niemam.

— Taak?... — wyrzekła przeciągle Larchówna i mocniej ścisnęła rękę Józi.

Młodej kobiecie dopiero teraz przyszło na myśl, że kompromituje męża. I dość niezręcznie zaczęła go usprawiedliwiać.

— Konrad myślał, że ja mam dosyć pieniędzy... Nie wiedział i dlatego...

— Ach! On nic nie myślał!... — rzuciła opryskliwie Larchówna i powstrzymała się, by nie dokończyć z brutalną szczerością: już ja go dobrze znam!...

— Mniejsza z tem, co mąż pani myślał, a czego nie wiedział... Faktem jest, że pani znalazła się bez grosza i musi sprzedawać swoje klejnoty... Może to pamiątkowa broszka?...

— Tak, po mamie...

— Szkoda sprzedawać, chociaż, jeżeli trzeba koniecznie... Już i ja pozbywałam się moich pamiątek... Gdyby pani mogła zadowolić się mniejszą kwotą, to możnaby tylko zastawić...

— Zastawić? Owszem, dobrze. Dziękuję pani za radę. Mnie to jakoś nie przyszło do głowy. Ale gdzie zastawić, u kogo?

— Hm! Jest tu jeden taki filantrop... Nazywa się Aron Gelbfisz... Ma sklepik, a przytem trudni się najrozmaitszymi przemysłami... Otóż on pożycza na zastawy.

— Aron Gelbfisz! — powtórzyła Józia, widocznie notując sobie w pamięci nazwisko.

— Jeżeliby to pani było przykro bardzo lub trudno, to mogę panią zastąpić... Ja już znam drogę do tego dobroczyńcy potrzebującej ludzkości...

— Dziękuję bardzo, ale nie chciałabym pani trudzić. Pójdę już sama.

— Jak pani woli. Tylko proszę się ostro trzymać i dobrze targować, bo ten pan Aron, to coś, niby łykowski Szajlok... Zna pani „Kupca weneckiego“ Szekspira.

— Byłam na tem kiedyś w teatrze, ale to już dawno.

— Ale postać lichwiarza Szajloka przypomina sobie pani?

— Przypominam.

— Otóż ów Gelbfisz jest jego, jeżeli nie rodzonym bratem, to w każdym razie bliskim kuzynem. Niechże się więc pani ma na baczności przed nim, bo panią bezczelnie obedrze...

— Jeżeliby pani była tak łaskawa... — podjęła po chwili milczenia Józia i zaraz urwała.

— Ależ będę łaskawa, napewne będę! Dlaczegóż pani taka nieśmiała? No, proszę mówić!...

— Jabym przyniosła pani tę broszkę, żeby ją pani oceniła... Dobrze? Bo ja się na tem nic a nic nie znam...

Łagodnie, pieszczotliwie dotknęła Larchówna ramienia swojej towarzyszki.

— Biedne, niezaradne dziecko!... I na czem się to zna!... A tu takie kłopoty spadają na tę śliczną główkę... — mówiła tonem, jakim się przemawia do małego dziecka.

— Dziwna rzecz — pomyślała Józia — że to właśnie ona i wyłącznie ona, okazuje mi tyle życzliwości...

— I pomyśleć — ciągnęła dalej Larchówna — że trzy czwarte panien i mam łykowskich, zazdrości pani „świetnej partyi“...

Młoda mężatka wyprostowała się nagle, jak batem podcięta.

— Ja nie dla świetnej partyi poszłam za mąż! — krzyknęła prawie.

— Ależ wiem, nie potrzebuje mnie pani o tem przekonywać. U pani raczej wszystko inne, niż rachuba... A właśnie należałoby się trochę nauczyć rachować!...

— Gdyby to można było nauczyć się!...

— Konieczność, piękna pani, to najlepszy nauczyciel... Jest jedno rubaszne ludowe przysłowie, które bardzo brzydko wyraża się o prorokach, więc i ja nie chciałabym być złowieszczym prorokiem... Ale mam dużo doświadczenia życiowego i dlatego ostrzegam: konieczność może przyjść...

— Co pani przez to chce powiedzieć?...

— Dużoby można mówić, ale za mało się jeszcze znamy... Zajdzie pani jeszcze kiedy do mnie, to pogadamy...

Larchówna chciała jeszcze coś dodać, ale przerwało jej energiczne pukanie do drzwi, poczem, nie czekając na zaproszenie, wtargnęła z głośnym tupotem nóg, średniego wzrostu osóbka.

— Cóż to? — zawołała świeżym, dźwięcznym głosem — Seans nastrojowy pociemku urządzasz, Tereniu?... A może spisz i ja cię budzę...

— Nie, nie śpię, choć przyznaję, że gdybym spała, mogłabyś mnie obudzić... — odpowiedziała ze śmiechem Larchówna — Zaraz zapalę lampę... Mam gościa, więc gwarzyło się doskonale bez światła...

Za chwilę zapłonęła na stole lampa, a przyćmione czerwoną zasłonką światło rzuciło krwawe refleksy na smagłą, żółtawą, zmęczoną twarz urzędniczki, na śliczną głowę Józi i na śmiałą, świeżą, rezolutną, z zadartym noskiem i bystremi, szaremi oczyma twarzyczkę najmłodszej Wichurzanki.

— Panie się nie znają... Panna Lutka Wichurzanka — pani Konradowa Żarnicka...

Lutka Wichurzanka położyła na stole zeszyt i dwie książki, które ze sobą przyniosła i niedbale trochę, jakby z pewnem lekceważeniem, podała rękę Józi.

Szare, niezwykle śmiałe, sprytem tryskające oczy obrzuciły młodą kobietę spojrzeniem szybkiem i ciekawem, w którem mało zdawało się taić sympatyi.

Józi zrobiło się jakoś nieswojo i zaczęła się zaraz żegnać.

— Już późno, muszę iść...

— A zajdzie pani tu jeszcze do mnie?... — pytała Larchówna, pomagając gościowi wpiąć szpilkę do kapelusza.

— O! Bardzo chętnie, jeżeli tylko będę mogła. Dziękuję pani za zaproszenie... i za wszystko. — powiedziała ciszej, tak, że Lutka nie dosłyszała ostatnich słów.

— E! Z dziękowaniem tam!... Odprowadzę panią do bramy, boby pani jeszcze karku nadkręciła po tych archaicznych schodach... Zwłaszcza, że od pewnego czasu gospodarz oszczędza nafty i urządza nam dla rozmaitości tak zwane egipskie ciemności!...

Już w bramie, ściskając rękę Józi na pożegnanie, Larchówna rzekła, jakby nagle sobie przypominając:

— Aha! Wie pani, co mi przyszło do głowy? Jeżeli finanse pani są w tak opłakanym stanie, to czemuż nie postara się pani o zasiłek za męża?...

— O zasiłek?... Jabym się mogła starać o zasiłek?!...

— Oczywiście i miałaby niewiele wprawdzie, ale zawsze parę groszy — niezależnie od miłej, a sympatycznej świekry!...

— Ale jakże to zrobić?!... Gdzie się zwrócić?...

— O wzorze niepraktyczności!... Niechże pani do mnie w tych dniach zajrzy, to ja to pani ułatwię!...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Odsłonięcie pomnika w Nowym Iczynie.

W dniu 2 września b. r. odbyło się w Nowym Iczynie na Morawach, gdzie znajduje się kadra krakowskiego szesnastego pułku strzelców (obrony krajowej) uroczyste odsłonięcie pięknego pomnika, przed-



Odsłonięcie pomnika w Nowym Iczynie: Pomnik po wykończeniu, obok jego twórca i inicyator

stawiającego żołnierza w rynsztunku wojennym, gotowego do rzucenia granatu ręcznego. Inicyatorem tego przedsięwzięcia był kapitan K. Weinwurm, wykonawcą zaś projektu podoficer Widuchowski.



Po zajęciu Rygi: Miejscowa ludność obdarza kwiatami niemieckich oficerów. W pośrodku ks. Schaumburg-Lippe (X).

Pomnik, po ukończeniu, ustawiono na rynku w Nowym Iczynie, gdzie też dokonano uroczystego odsłonięcia przy udziale przedstawicieli władz wojskowych, rządowych i autonomicznych, oraz tłumów publiczności, poczem rozpoczęło się wbijanie gwoździ honorowych na dochód funduszu wsparcia wdów i sierót po żołnierzach, należących do tego pułku.

Praca, wyszła z pod dłuta p. Widuchowskiego, przedstawia się bardzo pięknie, stanowi też prawdziwą ozdobę malowniczego rynku nowoiczyńskiego, szlachetny zaś cel, dla którego powstała, znalazł oddźwięk w sercach tamtejszej ludności i załogi, nic też dziwnego, że składki, zebrane przy wbijaniu gwoździ, przekroczyły już dawno kwotę pięćdziesięciu tysięcy koron.

Po zajęciu Rygi.

Zajęcie Rygi zwróciło ogólną uwagę na półn. front rosyjskiego terenu wojennego, o którym dotychczas niewiele było słychać w niemieckich i rosyjskich sprawozdaniach sztabów jeneralnych. Istotnie, wycinek nad Dźwiną, od Bałtyckiego morza do Dynaburga, jakby zamarł od dłuższego czasu. Obie armie, rozdzielone tam przez bagna Tirul, pomiędzy ujściem Dźwiny a kurlandzką Aa i szeroką od 200 do 300 m. Dźwinę, nie pozostawały tam właściwie w bezpośrednim kontakcie, a po stronie niemieckiej nie istniał aż do rewolucyi plan dalszego poruszania się ku północy. Przed rozpoczęciem ofenzywy pozycye były dość odległe od ujścia Dźwiny i Rygi



Po zajęciu Rygi: Przemarsz wojska niemieckiego przez wybrzeże Dźwiny. (Fot. Bufa).



Po zajęciu Rygi: Prom z niemieckim trenem, przeprawiającym się przez Dźwinę. (Fot. Bufa).

pod dowództwem podobno jenerała Radko-Dymitriewa. Przed rewolucyą głównym dowódcą północnego frontu był jenerał Ruzskij, który z nieznanych przyczyn został odwołany i przydzielony do jeneralnego sztabu.

W ostatnich czasach, według wiadomości nie zupełnie sprawdzonych, rząd rosyjski oderwał z nad Dźwiny około 100 000 najlepszych wojsk, które zostały wysłane do Finlandyi dla stłumienia separatystycznych dążeń tej prowincyi; być może, że sztab niemiecki wiedział o tej wysyłce i skorzystał z momentu, aby nagłem uderzeniem front rosyjski przełamać.

Bitwa, którą kierował — jak donoszą niemieckie pisma — jenerał Hutter, rozpoczęła się ogniem huraganowym, skierowanym na rosyjskie pozycye pod Uxkuell. Artylerya rosyjska odpowiadała bardzo słabo, a sprawozdania niemieckiego sztabu stwierdzają, że, przy rzucaniu mostów przez Dźwinę, wojska szturmujące nie poniosły strat. Albo zatem artylerya rosyjska została zaskoczona, albo też zaszedł wypadek rozprzężenia armii, jak to już wydarzało się niejednokrotnie na innych wycinkach rosyjskich.

Dnia 1 września były już zdemontowane działa rosyjskie pierwszej linii, poczem rozpoczęła się kanonada miotaczy min. Efekt jej był tak silny, że wojska rosyjskie w panicznym nieładzie opuściły swoje pozycye. Pionierzy zbudowali ze znaną sprawnością dwa pontonowe mosty i piechota niemiecka zdobyła w pierwszym zapędzie wzgórza, panujące na północnym brzegu rzeki. Wkrótce potem cała armia niemiecka przeszła pod Uxkuell przez Dźwinę, a przyczółek mostowy pod Rygą zawisł niejako



Uroczystość odsłonięcia na rynku nowoiczyńskim



Odsłonięcie pomnika w Nowym Iczynie: Wbijanie honorowych gwoździ na dochód funduszu wsparć wdów i sierót po żołnierzach 16 p p

i ciągnęły się półkolem od brzegów morza, na południe od bagien tirulskich aż do Uxkuell nad Dźwiną, oddalonego o 30 km. od Rygi, a stamtąd w prostej linii wzdłuż rzeki aż do Dynaburga, skąd front skręcał silnie ku południowi. Cały prawy brzeg Dźwiny, a od Uxkuell do morza także lewy znajdował się w rękach Rosyan, którzy wybudowali na zachód i wschód od Rygi potężnie obwarowane przyczółki mostowe.

Od półtora roku panował w tych stronach względny spokój, przerywany jedynie od czasu do czasu pojedynkiem artyleryi. Dopiero przed dwoma tygodniami zaczęły wojska niemieckie naciskać na pozycye rosyjskie na południu i zachodzie od bagien tirulskich. Bagna te opływa rzeka kurlandzka Aa, która od Mitawy ma kierunek północno zachodni, a w odległości paru kilometrów od morza skręca nagle ku północy, płynie równolegle do brzegów morskich i pod Dźwinoujściem łączy się z Dźwiną. Stanowią one zatem niebezpieczną przegrodę, która może być przebyta tylko na skrajnych liniach. Obawiając się odcięcia wysuniętych placówek, komenda rosyjska cofnęła swoje pozycye o 40 km. wstecz, aż do linii, wytyczonych równolegle do dolnego brzegu Dźwiny. To był prolog dalszych wydarzeń na tym wycinku.

Siły rosyjskie, nagromadzone około rygskiego przyczółka, były znaczne. Stały tam 2 i 6 korpusy syberyjskie, dalej 43 korpus, 17 dywizya jazdy i pierwsza brygada łotewska, ochotnicza. Pomiędzy Rygą a Uxkuell pełnił straż 21 korpus, jedna dywizya 43 korpusu i dwie brygady łotewskie; razem 15 dywizyi piechoty, które stanowiły XII armię



Po zajęciu Rygi: Wojsko niemieckie na moście kolejowym pod Rygą, wysadzonym w powietrze przez cofających się Moskali. (Fot. Bufa).

w powietrzu, zagrożony z flanki. Wprawdzie wojska zasłaniające wykonały jeszcze kilka kontrataków; służyły one jednak raczej dla zamaskowania odwrotu, niż do wyparcia Niemców. Już 3. września gościniec i kolej z Rygi do Wenden (za polskich czasów Kiesia) stały pod ogniem dział niemieckich, a następnego dnia wojska niemieckie okrążyły Rygę od północy i zachodu i zajęły stolicę Inflant bez oporu.

Według najnowszych doniesień, armia rosyjska cofa się spiesznie ku północy, a niemieckie przednie straże dotarły już do inflanckiej Aa, w odległości 20 klm. od Rygi. Przed opuszczeniem miasta, Rosyanie wysadzili w powietrze wspaniałe mosty na Dźwinie pod Rygą i spalili sześć tamtejszych dworców kolejowych. Niemcy opanowali dalej Dźwino ujście (Dünamünde), starą twierdzę, która osłania dostęp z morza do Rygi.

Strategiczne i polityczne następstwa przełamania ryskiego frontu mogą być bardzo doniosłe; przedewszystkiem nie wiadomo, czy Rosyanie po tej klęsce zdołają utrzymać się na linii Dźwiny. W każdym razie ich pozycye na wschód od Uxküll, zwłaszcza przyczółki mostowe pod Frydrychstadtem i Kokenhuzą, są już z flanki zagrożone. W normalnych stosunkach, przerwany front możnaby łatwo zamknąć na nowo, okopując się na linii od Frydrychstadtu do Wenden, wobec jednak widocznej dezorganizacyi armii rosyjskiej wysiłek ten, który potrzebuje pewnej wytrzymałości i energii, przerasta prawdopodobnie siły rosyjskie — wypadki zatem pod Uxküll odbiją się prawdopodobnie na całej przestrzeni, aż do Dynaburga. Wszystko zależy od tego, jakie są dalsze zamiary niemieckiego sztabu i czy zdobycie Rygi jest tylko w sobie zamkniętym epizodem, czy też punktem wyjścia operacyi, zakreślonych na wielką skalę.

Na razie opanowanie stolicy Inflant ma niewątpliwie pewne polityczne znaczenie. Ryga jest najliczniejszem niemieckiem skupieniem w prowincyach bałtyckich, skąd jeszcze nie wynika, aby była miastem niemieckiem. Na 350 000 ludności przebywa tam zaledwie 70—80 000 Niemców, podczas, gdy Łotyszów jest około 200 000. Kolonia polska jest prawie taksamo liczna, jak niemiecka, a Rosyan mieszka w Rydze znacznie więcej; liczba Estów jest również dość duża; słowem, miasto przedstawia mozaikę wszystkich narodowości, rozrzuconych nad Bałtykiem. Aż do wstąpienia na tron Aleksandra III miało charakter wybitnie niemiecki; dopiero po zainaugurowaniu nacyonalistycznej polityki w Petersburgu, zaczęły się złe czasy dla Niemców bałtyckich, pomimo ich zdecydowanej lojalności wobec Rosyi. Rząd rosyjski zaczął z jednej strony faworyzować Łotyszów, z drugiej zrusyfikował całe szkolnictwo i całą administracyę.

Rada miejska w Rydze oddawna już nie ma większości niemieckiej, a słynna Politechnika, w której kształciło się zawsze tylu Polaków, jest od lat trzydziestu czysto rosyjskim zakładem. Mimo to, pozostała Ryga zawsze głównem centrum niemieckiego kulturalnego życia, a po rewolucyi 1905 roku stąd promieniowała się na Inflanty niemiecka oświata, oparta na prywatnych wysiłkach. Nic dziwnego, że pisma niemieckie sławią zdobycie tego miasta, jako akt narodowego oswobodzenia.

Ryga była także jednem z głównych ognisk rosyjskiego przemysłu. Tam znajdowały się przed wojną pomiędzy innymi olbrzymie i głośne zakłady „Prowodnik", zatrudniające przy wyrobach gumowych 18 000 robotników i bałtycka fabryka wagonów, największa w tym rodzaju w całej Rosyi. Wszystkie fabryki zostały przewiezione, jeszcze w czasie pierwszej ofenzywy Hindenburga do Kurlandyi, w głąb państwa.





(Fot. Prisel). Odjazd łodzi z przystani „Sokoła" do startu. **Sport wioślarski w Krakowie:** Szóstka Akad. Związku sportowego. (Fot. inż. Skibka i Wisłocki)



Po zajęciu Rygi. Koncert niemieckiej muzyki wojskowej na Placu Teatralnym w Rydze. (Fot. Bufa)



Sport wioślarski w Krakowie: Uczestnicy i uczestniczki zawodów wioślarskich. (Fot. inż. Skibka i Wisłocki).

Z działalności oświatowej w Królestwie.

Dnia 27—30. sierpnia r. b. odbył się w Igołomii, ziemi Kieleckiej, trzech-dniowy kurs rolnictwa dla włościan. Przeprowadzenie kursów zawdzięczać można jedynie sprężystej, obywatelskiej działalności p. Henryka Wójcickiego z Tropiszowa, prezesa Kółka rolniczego, oraz p. dyrektora Kazimierza Steckiego. Pracy dokonano wspólnemi siłami.

Wykłady na kursach prowadzili: 1) Żywienie zwierząt domowych, p. H. Wójcicki; 2) Hodowlę zwierząt domowych, p. St. Białecki z Igołomii; 3) Organizacyę gospodarstwa wiejskiego, p. inż. Jan Małupa; 4) Rolnictwo, instruktor p. Stefan Miernicki z Kazimierzy Wielkiej; 5) Pszczelnictwo, znany pszczelarz p. J. Piwowarski z Boszczynka i 6) Ogrodnictwo, dyrektor Gabryl z Krakowa.

Na kurs uczęszczało czterdziestu słuchaczy i słuchaczek ze wsi: Glewa, Pobiednik, Dużyc, Łyszkowic, Posądza, Polekarcic, Koniuszy, Zydowa, Złotnik, Szarbii, Igołomii i Tropiszowa. Zainteresowanie słuchaczów było nadzwyczaj duże, tak, że niejednokrotnie dziękowali wykładającym żywymi oklaskami.

Oprócz wykładów dwa popołudnia były przeznaczone na demonstracye, oraz zwiedzenie gospodarstwa dworskiego, jak również wzorowo prowadzonych gospodarstw włościańskich.

Na zakończenie kursu, po przemówieniu pożegnalnem p. Henryka Wójcickiego, zabrali głos włościanie, podkreślając konieczność i potrzebę urządzania podobnych wykładów, oraz serdecznie dziękując wszystkim prelegentom.

Sport wioślarski w Krakowie.

Po dłuższej przerwie, spowodowanej wojną, zaczyna powracać normalne życie i w dziedzinie sportu. Odżył również zatamowany początkowo utrudnieniami żeglugi po Wiśle sport wioślarski. Pięknym jego przeglądem były w ubiegłą niedzielę, dnia 16. b. m., zawody wioślarskie na Wiśle, urządzone staraniem oddziału wioślarskiego Sokoła i sekcyi wioślarskiej Akademickiego Związku sportowego. Zawody zgromadziły tłumnie widzów, którzy śledzili je z ciekawością. Rozegrane były następujące biegi:

Bieg I. Podwójne skullingi. Zwycięża osada: Morawska, Szalewski, sternik Kałamacki.

Bieg II. Czterowiosłówki wyścigowe klepkowe. Zwyciężyła osada: Sukniewicz, dr. Zaba, Halawa, Szeligowski, sternik p. Jaworzyński.

Bieg III. Podwójne skullingi półosadnie. Zwycięża osada: Rudy, Tiesler, sternik Rudnicki.

Po biegu ofiarowano p. Rudnickiemu, jednemu z najstarszych pionierów wioślarstwa w Krakowie,



Sport wioślarski w Krakowie: Zwycięska czwórka pań u mety. (Fot. inż. Skibka i Wisłocki).

piękny wieniec, przepasany szarfami obu Tow. wioślarskich.

Bieg IV. (czterowiosłówki wyścigowe klepkowe pań) dał publiczności obecnei na zawodach dużo emocyi. Zwyciężyła osada: A. Morawska, Bibulska, Olszeniakówna, Jętkiewiczówna, ster Jakubowska.

Bieg V. Czterowiosłówki wyścigowe (raceboaty). Zwyciężyli: Gebethner, Dutkiewicz, Szalewski, Leszko, ster Kałamacki.

Bieg VI. Sześciowiosłówki nasadnie (nagroda honorowa). Zwycięża osada S. W. Ak. Zw. Sport.: Łoś, Szatkowski, Wisłocki, Wołkowski, Dutkiewicz, Leszko, ster Rudy. Niebezpiecznymi współzawodnikami zwycięzców byli goście z Nowego Sącza w osobach: pp. Kramarskiego, Zielińskiego, Berzyńskiego, Nowaka, Hudeczka, Jarosza, u steru p. Zaraffa.

Zwycięzcy otrzymali w nagrodę cenny puhar.

Bieg VII. Czterowiosłówki wyścigowe przeciw poczwornemu skullingowi. Zwycięża skulling z osadą: pp. Gebethnera, dr. Jakubowskiego, Bojarskiego, Zolla, ster Jakubowska.

Bieg VIII. Match ośmiowiosłowy pań przeciw sześciowiosłowemu juniorów — przyniósł palmę zwycięstwa płci brzydszej w osobach: pp. Strzegockiego, Kijowskiego, Budka, Maciołowskiego, Langera, Reima, ster Kałamacki.

Start odbywał się u ujścia Rudawy do Wisły pod klasztorem Norbertanek, meta u mostu Zwierzynieckiego. Kierował zawodami znany sportsman, inż. Bobkowski.

Akademicki Związek sportowy dla uczczenia 25-lecia istnienia oddziału wioślarskiego „Sokoła“, złożył mu dar, w postaci czterowiosłowej łodzi wyścigowej.

Między metą a startem założono połączenie telefoniczne, obsługiwane przez żołnierzy.



Z działalności oświatowej w Królestwie Polskiem: Uczestnicy i kierownicy kursu rolniczego dla włościan w Igołomii w Kieleckiem.

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

16

– Niech pan będzie przekonany, pułkowniku – odparł usłużnie Lambertin – że pragnę uczynić dla pana wszystko, co jest w mojej możności, proszę mi tylko powiedzieć.

– Doskonale, kochany panie... Czy jesteśmy tu sami? Czy nikt nam nie przeszkodzi?

– Możemy porozmawiać zupełnie swobodnie i bez obawy, że rozmowa nasza przerwana zostanie.

– A to się szczęśliwie składa – uśmiechnął się pułkownik, siadając obok Lambertin'a. – Otóż, co mnie tu sprowadza – zaczął tonem pewnym i swobodnym. – Kilka dni temu, po premierze, która ściągnęła prawie Paryż cały do teatru „Variétés", poszedłem na kolacyę do Brebanta, w towarzystwie kilku przyjaciół i paru młodych kobiet, które właśnie występowały w tej premierze. Pan wybaczy, że zagłębiam się w takie szczegóły, ale są konieczne do illustrowania zamiaru, jaki mnie tu sprowadził.

– Ależ proszę, panie pułkowniku, proszę bardzo – zapewnił Lambertin – słucham z uwagą.

– Pan to rozumie! To jest typowe życie takiego olbrzymiego miasta jak Paryż, a na prowincyi rzeczy te są nieznane i w innem świetle widziane. Było nas dziesięć osób. Przyjaciołom moim nie zbywało na dowcipie, kobiety były sympatyczne i wesołe, dodajmy do tego muzykę i szampan, a będzie pan miał pojęcie o nastroju, jaki między nami panował. Co do mnie, przyznać muszę, że chociaż już dobrze zblazowany jestem na przyjemnościach tego rodzaju, mam jednak chwile, kiedy to całe sztuczne, a ponętne życie pociąga mnie i pochłania w taki gwałtowny sposób, że zapominam o przeżytych latach i staję się znowu młodym człowiekiem, pragnącym użycia i śmiechu.

– Tak, tak – przytakiwał Lambertin, w którego oczach błysnął płomień na wspomnienie Paryża i jego uciech.

– Bawiliśmy się więc już od dwóch godzin – mówił dalej pułkownik – kiedy jedna z naszych towarzyszek, mała Berta, wymówiła nagle imię pewne, na dźwięk którego zadrżeliśmy wszyscy.

– Co za imię?

– Imię Bonnet. Ten Bonnet pochodzi z Saint-Nicolas i dawno już temu wyjechał do Indyi, nie pozostawiając żadnych śladów za sobą. Panu to może nie było wiadomem? – zapytał pułkownik, patrząc bystro na Lambertin'a.

– Wszystko to jest mi dobrze wiadomem – odpowiedział tenże.

– A więc wie pan i o tem, że tam dorobił się kolosalnego majątku.

– Tak mówią – i mówią także, że ten Bonnet zmarł niedawno w Indyach. Tylko, że skonstatowanie tego ostatniego faktu nie nadeszło jeszcze do Francyi, a w tej sytuacyi niejasnej...

– Tak jest. Ale myśl o tej niecodziennej fortunie, możliwość śmierci Bonneta, podnieciły umysły spadkobierców i ta mała Berta, o której panu wspomniałem, zaczęła na dobre marzyć, że stanie się wkrótce właścicielką indyjskich milionów.

– Musi być zatem krewną tego Bonnet'a?

– Zapewne. Nigdy na pewne wiedzieć nie można, jakiego pochodzenia są podobne kobiety. Utrzymują zatem, że jest krewną tego awanturnika i przez jakiś czas łudziła się nadzieją, że powołaną zostanie do podjęcia po nim sukcesyi. Na nieszczęście dla niej, w brutalny sposób przywołano ją do rzeczywistości.

– W jaki sposób? – zapytał Lambertin, zainteresowany opowiadaniem pułkownika.

– Powiedziano jej, że przed wyjazdem swoim do Indyi, Bonnet miał tu mieć dziecko, w Saint-Nicolas i że nie tylko dziecko to uznał jako swoje własne, ale napisał testament na jego korzyść, zapisując mu wszystko to, czemby mógł kiedyś rozporządzać w przyszłości. Zrozumie pan, jak ta wiadomość podziałała na biedną Bertę. Od dnia tego odkrycia szaleje poprostu z niepokoju i rozpaczy. Jeżeli jej powiedziano prawdę, to na zawsze pożegnać się musi z marzeniami o bogactwach i wielkości i zgodzić się musi z niemiłą perspektywą dalszego życia w niepewności, które nawet nie jest w stanie dać jej zapewnienia jakiegokolwiek na stare lata.

Lambertin słuchał z uwagą, ale jednak jeszcze nie mógł zrozumieć, jaki ta cała historya może mieć związek z przybyciem pułkownika i jakiego wyjaśnienia od niego żądać będzie.

Pułkownik odgadł stan jego umysłu, bo rzekł nagle z dobroduszną żywością:

– Zaraz to panu wytłumaczę, nie mam celu ukrywać przed panem powodu mojego przybycia tutaj. Jeżeli tak, jak mówią, Bonnet uczynił zapis na korzyść dziecka, o którem mówiłem, to akt ten egzystować musi, a w takim razie znajduje się w posiadaniu pana Durandeau, w którego biurze spisanym był. Otóż, jeżeli tak jest, to pan prędzej, niż ktokolwiek inny, może mnie w tym kierunku poinformować, a będę panu bardzo zobowiązany, jeżeli pan to uczynić zechce.

Lambertin namyślał się przez chwilę, poczem uczynił gest, mówiący, że się zgadza.

– To, czego pan żąda odemnie – wyrzekł – jest zupełnie naturalne i w zakresie mojej działalności i zdaje mi się, że pan Durandeau również nie omieszkałby zaspokoić ciekawości pana.

– Otóż to mi się podoba – oświadczył z zadowoleniem pułkownik Robert. – Wiedziałem, że mam do czynienia z człowiekiem rozsądnym i usłużnym.

– Tak, jak pan mówił – ciągnął dalej Lambertin. – Bonnet, który tu w grę wchodzi, zrobił przed wyjazdem do Indyi testament i zapisuje w nim cały swój majątek w przyszłości dziecku, które uznał za swoje.

– I ten testament jest tutaj złożony? – zapytał żywo pułkownik.

– Tak jest.

– Nie śmiem pana prosić o zaznajomienie mnie z jego treścią.

– Gdybym nawet chciał, nie byłbym w stanie zastosować się do pana życzenia.

– Dlaczego?

– Wszystkie autentyczne akta, wogóle wszelkie ważniejsze papiery są zamknięte w tej szafie żelaznej, którą tu pan widzi. Szyfry zamku są tylko znane panu Durandeau, a gdybym nawet je znał, nie mógłbym się niemi posłużyć.

– Dlaczego, kochany panie? – szepnął przekonywająco pułkownik Robert, przysuwając się do pana Lambertin.

– Bo nie leży to w zakresie mojej działalności – odparł tenże z prostotą.

Pułkownik uśmiechnął się grzecznie.

– A niechże mnie Bóg broni – zawołał żywo – ażebym śmiał nalegać na pana. Akt znajduje się w rękach pana Durandeau jako cenny depozyt, powinien tam pozostać nadal. Tylko byłbym bardzo rad... zdać sobie nareszcie sprawę ze stanu rzeczy... z sytuacyi całej... i dlatego tylko...

– Jest jednak sposób na to... – wyrzekł po chwili pan Lambertin.

– Jakiż? Kochany panie, jakiż to? – zapytał gorączkowo pułkownik.

– Nie mam autentycznych aktów do dyspozycyi, to prawda, wiem jednakże, gdzie mógłbym znaleźć odpisy... a odpisy te mógłbym bez przeszkody...

– Zrobiłby to pan naprawdę?

– Tak, tylko potrzebuję trochę czasu na te poszukiwania.

Błysk szalonej radości rozjaśnił twarz pułkownika.

– Oh! Jeżeli tylko o to chodzi! – zawołał. – Niech pan spokojnie użyje potrzebnego czasu! Powiem nawet panu, że taka zwłoka odpowiada mi zupełnie i wykorzystam sposobność, która mi się nasuwa.

– Co za sposobność?

– Mam kilka ważnych spraw do załatwienia w Marsylii i nie mogę pozostać dłużej w Saint-Nicolas. Opuszczę więc pana. Ale byłby pan naprawdę bardzo uprzejmy i panna Berta będzie panu za to niewymownie wdzięczna, jeżeli zechce pan dziś wieczór, po godzinach biurowych, przybyć do Marsylii i przywieźć nam te kopie, które zapewne do tego czasu zdoła pan odszukać.

– Pan chce, żebym udał się do Marsylii? – wymówił zdumiony trochę Lambertin.

– Chcę jeszcze coś więcej, mój kochany panie. Niech pan posłucha mnie, proszę: o godzinie piątej powóz mój zajedzie tu po pana. Wsiądzie pan do niego, zabierając ze sobą potrzebne dokumenta, które przejrzeć pragnę i przepędzi pan godzinkę ze mną i małą Bertą, która, nawiasem mówiąc, wcale jest przyjemną dziewczyną.

– Jakto? – zawołał Lambertin, czerwieniąc się gwałtownie – Ta młoda osoba jest z panem?

– Oczywiście! – odparł spokojnie pułkownik. – Chciała mi nawet towarzyszyć tutaj, ale jej to wyperswadowałem. Berta jest bardzo miłą kobietą, sprytna, wesoła, zgrabna, prawdziwy typ pociągającej paryżanki. Zresztą sam się pan o tem wkrótce przekona. Sądzę, że zawód pana nie broni przepędzić panu godzinkę na rozmowie z ładną kobietą. – zaśmiał się pułkownik, obrzucając pana Lambertin rozbawionem spojrzeniem.

Lambertin za całą odpowiedź roześmiał się również wesoło, podniecony miłą perspektywą przepędzenia reszty dnia w niecodziennym nastroju.

– A więc to rzecz postanowiona – rzekł pułkownik.

– Skoro panu tak na tem zależy. – odpowiedział pan Lambertin uprzejmie.

– Powóz odwiezie pana, kiedy tylko pan zechce i nikt nie spostrzeże pana nieobecności. A więc do wieczora, nieprawdaż?

– Tak, do wieczora.

– Doskonale! Doprawdy, jestem bardzo zadowolony z poznania pana.

Mówiąc to, pułkownik uścisnął rękę pana Lambertin i wyszedł na ulicę, gdzie oczekiwał jego powóz.

Pan Lambertin zaś pozostał sam w biurze, bardzo wzruszony tą nieoczekiwaną wizytą, z głową pełną marzeń i pragnień nieuchwytnych.

– – – – – – – – – – – – – – – – –

Pułkownikowi Robert udało się dosyć łatwo wywieźć z Paryża uroczą osóbkę, którą nazywano powszechnie Bertą o małych nóżkach.

Była ona dosyć znana w mieście, gdzie zdołała już sobie uzyskać pewną sławę i uznanie. Posiadała bowiem pewien wdzięk wrodzony, który wyróżniał ją od innych kobiet, a pozatem posiadała pewne zalety. Była prawie dobrze wychowaną. Uroda jej, świeżość i wesołe usposobienie, mimowoli pociągały wszystkich do niej.

Spojrzenie jej ciemnych oczu miało w sobie urok nęcący. W pewnych chwilach, kiedy jej specyalnie zależało na tem, wybiegały z nich jakieś prądy gorące i magiczne, które obejmowały upatrzoną ofiarę dyskretną, a silną pieszczotą, wzbudzającą dreszcze pożądania i podziwu.

Wybór więc pułkownika Robert był bardzo trafny. Kobieta ta znakomicie mogła odegrać rolę, do której ją przeznaczył.

Pewnego wieczoru rzekł jej, pokazując naszyjnik perłowy wielkiej wartości:

– Jeżeli zechcesz, za kilka dni klejnot ten będzie twoją własnością.

Berta przepadała za perłami.

Zapytała tylko dla formy, co będzie zmuszona uczynić wzamian i zdawała się być bardzo zdumioną, kiedy pułkownik objaśnił, czego od niej żąda.

Musiała opuścić Paryż na kilka dni, przepędzić czas jakiś w Marsylii, gdzie usidlić miała ładnego, trzydziestoletniego chłopca, nie znającego zupełnie życia i naiwnego, jak małe dzieci. O kobietach z Paryża wiedział tyle, co wyczytał niekiedy z dzienników, a w gruncie nie miał o nich najmniejszego wyobrażenia.

Berta przejęła się szybko narzuconą sobie rolą. Posiadała w wysokim stopniu zalety, wymagane od niej w tym kierunku i z pewną niecierpliwą ciekawością oczekiwała chwili poznania przedmiotu, mającego paść ofiarą jej uroku i podstępnej kokieteryi.

Kiedy pułkownik powrócił z Saint-Nicolas, po widzeniu się z Lambertin'em, obrzuciła go nawałnicą gorączkowych pytań.

– Czy to brunet, czy blondyn? Jakie miał oczy – jasne, czy ciemne? A zęby, czy białe? Wzrost? Zachowanie?

Odpowiedzi pułkownika zadowoliły ją dosyć i z całą uwagą przyjmowała jego uwagi i ostrzeżenia co do sposobu postępowania, uśmiechając się od czasu do czasu porozumiewawczo.

– Niech mi pan już resztę pozostawi. – rzekła wkońcu – Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony ze mnie, a ten pana znajomy, ten Lambertin, bardzo się na mnie uskarżać nie będzie.

Wówczas pułkownik wyciągnął pudełko, zawierające naszyjnik perłowy i rzekł uprzejmie:

– Widzę, że mogę ci zaufać, moje dziecko, nie chcę więc, abyś dłużej oczekiwała na nagrodę

na którą już sobie zasłużyłaś. Nie zapomnij pozatem, że to jeszcze nie koniec, że możesz w tej grze zyskać coś więcej. Ale musisz rozkochać w sobie tego człowieka, musisz go doprowadzić do prawdziwego zaślepienia i szału. Masz wszystkie dane potemu, moja mała i jeżeli otrzymasz od niego ten dokument, na którym mi tak zależy — przyszłość twoja będzie ustalona.

Berta uśmiechnęła się uroczo, wzięła naszyjnik i natychmiast, z żywem zadowoleniem włożyła go na białą szyję.

Następnie zajęła się gorliwie swoją toaletą. Nie była to rzecz drugorzędna i w zajęcie to, dosyć zresztą dla niej sympatyczne, włożyła cały swój gust i staranność.

Około godziny szóstej powóz wjechał na podwórze hotelu, zajmowanego przez nią. Należał on do pułkownika Roberta.

Berta ciekawie wyjrzała oknem i ujrzała wysokiego mężczyznę wysiadającego z powozu.

Był to Lambertin.

W pierwszej chwili jakieś zdziwienie przebiegło młodą kobietę. Była przygotowaną na ujrzenie ociężałego, rubasznego wieśniaka, a natomiast ujrzała człowieka smukłego, o silnych, zgrabnych ramionach, poruszającego się śmiało i z pewnością siebie i którego rysy, zresztą dosyć pospolite, nie pozbawione były pewnego wdzięku i prostoty.

Czegoś podobnego Berta nie spodziewała się wcale ujrzeć. Pozatem rysy twarzy pana Lambertin były wyraziste — oczy intelligentne i żywe. Jednem słowem, nie był on wcale podobnym do człowieka, którego wyobrażała sobie ujrzeć i uczuła odrazu pewną wdzięczność dla niego za to miłe rozczarowanie.

Kiedy w kilka minut później pułkownik przyszedł po nią, aby jej przedstawić pomocnika pana Durandeau, nie mogła się oprzeć, aby mu nie wyrazić swojego wrażenia.

— Jakto? Więc naprawdę on ci się podoba, moje dziecko? — zaśmiał się pułkownik. — Widzę, że wszystko ułoży się jeszcze lepiej, niż przypuszczałem.

— W każdym razie — odparła Berta — wolę, że jest takim. Nie będę się przynajmniej przymuszać do odgrywania komedyi.

— Uważaj tylko, Berto, żebyś się sama w nim nie zakochała. Toby było nieszczęście dla ciebie.

— Niechże pan nie drwi w ten sposób — zawołała podrażniona. — Wy mężczyźni jesteście zawsze ci sami! Nie chcecie uwierzyć, że i my serce mieć możemy.

— Bo, zdaje się — odciął pułkownik — że to jest jedyna rzecz u was, którą lubicie ukrywać. Ale dosyć już tych głupstw, moja mała. Trzeba iść przywitać naszego gościa! Chodź już, chodź! On tam zapewne umiera z oczekiwania!

I pociągając młodą kobietę, pułkownik wszedł do salonu.

Lambertin na ich widok powstał i ukłonił się, nie okazując wielkiego pomieszania.

— Moja droga przyjaciółko — odezwał się pułkownik — przedstawiam ci pana Lambertin. Panie Lambertin, panna Berta, o której miałem przyjemność mówić panu dziś rano. No, a teraz, skoro znacie się już, moi państwo, niechże pan poda ramię pannie Bercie i przejdziemy do jadalnego pokoju.

Lambertin uczynił to, co mu kazano i za chwilę całe towarzystwo siedziało za stołem, bogato zastawionym, na którym srebrna zastawa i kryształy błyszczały tysiącami świateł w blasku świec, gęsto rozstawionych.

Podczas pierwszych chwil rozmowa ciągnęła się dosyć leniwie. Pierwsze lody nie były jeszcze przełamane. Lambertin co prawda umierał z głodu. Posiadał bowiem jeden z tych prowincyonalnych, zdrowych apetytów, których niczem zaspokoić nie można i nie odrzucał bynajmniej półmisków, podawanych mu usłużnie przez pułkownika. Potrawy przytem wyszukane i doskonale przyrządzone, wino pierwszej marki. Lambertin nie lękał się kieliszka i wychylał jeden za drugim z uznaniem prawdziwego smakosza. Podczas kiedy jadł i pił, zapomniawszy na chwilę o uroczem swojem towarzystwie, Berta obserwowała go bacznie.

Już kilkakrotnie spojrzenia ich się spotkały mimowolnie i Lambertin, pomimo iż był gorliwie zajęty nasyceniem swojego głodu, doznał silnego, nieokreślonego wrażenia.

Berta natomiast, zaledwie zwracała uwagę na potrawy i wina. Zdawała się uważnie śledzić opowiadanie pułkownika, który rozpływał się entuzyastycznie nad jakimś epizodem ze swojej podróży; ale w rzeczywistości wszystkie jej myśli zwrócone były do gościa. W pewnej chwili Lambertin, nareszcie syty, przerwał pochłaniające go czynności. Dotąd nie zwracał zbytniej uwagi na słowa pułkownika, bo, pomimo wszystko, siedząca naprzeciw niego kobieta zaciekawiała go i interesować zaczęła.

Po raz pierwszy w życiu znajdował się w tak wesołem i miłem towarzystwie i nigdy jeszcze nie patrzono tak upornie i tak słodko na niego. Czuł, że serce jego topnieć zaczyna pod wpływem jakiejś drażniącej i łagodnej pieszczoty, a zmysły jego, nie opancerzone niczem, niosły go ku najśmielszym marzeniom.

Pomału sytuacya rozjaśniała się coraz więcej. Spojrzenia Berty stawały się bardzo ciepłe, uśmiechy jej bardziej wyzywające i ponętne, a on sam, pod wpływem atmosfery, panującej w pokoju, czuł, że w żyłach jego przelewają się fale gorętszej, żywiołowej krwi.

I wówczas całe ciało jego utonęło w jakiemś odrętwieniu, a do głowy buchało upojenie bardzo przyjemne, z którego nie zdawał sobie sprawy.

I naraz doznał olśnienia. Ujrzał przed sobą światy nieznane dotąd i w tym śnie na jawie, który przybierał coraz to fantastyczniejsze formy — zdawało mu się, że wystarczy, aby wyrzekł jedno tylko słowo — aby w te nieznane światy ulecieć i sny ponętne w rzeczywistość zamienić.

Pułkownik, który od rozpoczęcia biesiady nie spuszczał z niego wzroku, wstał w tej chwili od stołu i wyciągnął cygaro z kieszeni.

— Czy pan pali, panie Lambertin? — zapytał uprzejmie, zwracając się do gościa.

— Nie, panie pułkowniku — odpowiedział Lambertin, jak gdyby nagle ze snu zbudzony.

— Jakto? Nawet jedno cygaro po obiedzie?

— Nie używałem jeszcze nigdy tytoniu.

— A to szkoda naprawdę, bo dym cygara szkodzi pannie Bercie i będę zatem zmuszony opuścić was na chwilę. Sądzę jednak, że nie zauważycie bardzo mojej nieobecności, bo z pewnością macie sobie wiele do powiedzenia. Pójdę się przejść trochę, a kiedy powrócę, mam nadzieję, że się już porozumiecie doskonale. Berta jest bardzo miłą i zgodną osóbką, musiał pan to już chyba zauważyć, panie Lambertin. — dodał pułkownik, uśmiechając się.

Młody człowiek nie odpowiedział nic, tylko zaczerwienił się silnie.

Pułkownik zaś ucałował rękę Berty, zapalił cygaro i wyszedł, pogwizdując wesoło.

Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, młoda kobieta wstała, z czego Lambertin uczuł się bardzo zadowolonym, bo nie wiedział, od czego zacząć rozmowę.

Podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu, uśmiechając się łagodnie.

— Pułkownik ma słuszność. — rzekła poważnym głosem, kierując się do przyległego buduaru — Zapomnieliśmy dotąd o prawdziwym celu odwiedzin pana i zdaje mi się, że już najwyższy czas przypomnieć sobie o tem. Czy nie jest pan mojego zdania?

Lambertin spojrzał na zegar.

— Oczywiście — odrzekł — tembardziej, że dochodzi już dziewiąta godzina, a wkrótce będę zmuszony powrócić do Saint-Nicolas.

— Oh! Co znowu! Pan myśli nas już opuścić? — zawołała z wyrzutem Berta.

- Muszę. — odpowiedział z żalem Lambertin, zatapiając wymowne spojrzenia w jej oczach.

— Życie pana musi zapewne bardzo monotonnie i nudnie upływać w tem małem prowincyonalnem miasteczku, gdzie niema żadnych rozrywek i zabaw?

— To prawda — ale na szczęście Marsylia nie jest bardzo oddalona.

— Ma pan przyjaciół? — indagowała dalej Berta, patrząc z zajęciem na towarzysza.

— Bardzo mało!

— Przyjaciółkę może?

— Ja? — szepnął Lambertin, onieśmielony dziwnie gorącem spojrzeniem młodej kobiety.

— Ach! Co znowu? Dlaczego się pan tak broni? W pana wieku, z tym sympatycznym wyglądem, byłoby to rzeczą całkiem naturalną.

— Przysięgam pani...

— Oh! Niech pan nie myśli, że jestem niedyskretną. Nie żądam od pana zwierzeń poufnych, ale przypuszczam, że młodzi ludzie z tych stron nie muszą się zbytnio różnić od młodzieży paryskiej. Czy pan zna Paryż?

— Nie, proszę pani.

— I nigdy nie zapragnął pan poznać to miasto i żyć w niem?

Lambertin potrząsnął żywo głową, przesunął nerwowym ruchem rękę po włosach i obrzucił młodą kobietę długiem spojrzeniem, z którego wyjrzała jego dusza, roztęskniona i pragnąca.

— Oh! Paryż! — szepnął marzycielsko — Paryż! To niezniszczone pragnienie moje!

— Dlaczego? — zapytała żywo Berta — Nie rozumiem pana. Dlaczegóżby pan tam się nie przeniósł?

— Czy to możliwe? Zginąłbym tam z wszelką pewnością już w pierwszych miesiącach.

— Co za myśl! Tak się pan lęka uroku tego wspaniałego miasta?

— Nie kryję się z tem wcale!

— A więc to źle! To bardzo źle, panie Lambertin! Wie pan co? Uczuwam do pana prawdziwą sympatyę i czułabym się bardo szczęśliwą, gdyby pan przybył do Paryża, aby poznać trochę to życie, przypatrzeć się, badać...

— Co pani mówi? — zawołał Lambertin silnie wzruszony otwierającą się przed nim perspektywą.

— Czy się to panu nie podoba, że interesuję się panem? — zapytała Berta.

— Jestem przejęty wielką i niezasłużoną dobrocią pani.

— Jak pan widzi, należę do istot szczerych. Od pierwszej chwili podobał mi się pan bardzo, przyznaję to z całą otwartością. Nie powinnam może mówić tego... ale ja już taka jestem, zawsze mówię to, co myślę.

— Pani chce sobie zażartować ze mnie. — wyrzekł Lambertin olśniony.

— To bardzo źle, że podobne niedorzeczne przypuszczenie mogło panu przyjść do głowy. — odpowiedziała młoda kobieta z wyrzutem.

— Gdyby pani wiedziała...

— Co takiego?

— Kiedy nie śmiem wyznać tego pani. Tak mało zna mnie pani.

— No, dalej! Niechże pan dokończy! Czyż jestem aż tak straszna?

— Oh! Nie! Nie... Pani jest piękna i lubię podziwiać panią... Głos pani tak dźwięczny i miękki, że słuchałbym go dzień cały!

— Doprawdy? Ależ wcale mnie to nie zraża, przeciwnie, miło mi to usłyszeć z ust pana.

— Nigdy jeszcze — mówił dalej Lambertin, podniecając się własnemi słowami — nigdy jeszcze nie spotkałem tyle wdzięku i piękności. To tak, jak gdyby jakieś nowe światy otwierały się przedemną... jakieś nowe odkrycie kobiety... i teraz, kiedy już poznałem panią, zdaje mi się, że samotność moja bardzo ciążyć mi będzie i że teraz dopiero pozostanę naprawdę opuszczony i nieszczęśliwy! Oh! Gdyby to jednak było możliwe!

Przy tych słowach Lambertin ujął rękę młodej kobiety i ściskał ją gorączkowo w swojej.

— Co takiego? Cóżby mogło być możliwe? — powtórzyła z naciskiem Berta.

— Ach! Szalony jestem, naprawdę! Kocham panią... Kocham do utraty rozumu.

— Ależ to nie jest rzecz zabroniona, o ile mi się zdaje. — zaśmiała się Berta.

— Niech się pani na mnie nie gniewa!

— Dlaczegóż miałabym się gniewać! Czyż kobieta nie czuje się szczęśliwą, kiedy ją znajdują piękną i kiedy wzbudza żywsze uczucia. — rzekła Berta, życzliwie patrząc na towarzysza.

Ale nagle przybrała melancholijny i smutny wyraz twarzy i rzekła miękko:

— Widzi pan, w tem życiu, jakie my prowadzimy ciągniemy za sobą wieczną jakąś tęsknotę i smutek. Jesteśmy zawsze otoczone mężczyznami, którzy nas kochają, lub przynajmniej chcą obudzić to przekonanie w nas, ale właściwie całe nasze życie upływa na oczekiwaniu tego człowieka, którego pokochać same mamy. Pragniemy wszystkie tego gorąco, i to pragnienie staje się marzeniem naszem nieodłącznem, marzeniem każdego dnia, każdej godziny, a mojem w szczególności.

— I pani także? I pani także? — szepnął Lambertin, ściskając coraz namiętniej rękę, której nie miano wcale zamiaru mu odbierać.

— Tak! I mojem także! — powtórzyła poważnie młoda kobieta — Chciałam zawsze spotkać na swojej drodze człowieka, młodego jeszcze, pięknego, umiejącego kochać, a przedewszystkiem szczerego i któryby mnie pokochał całą siłą serca, które nie zdążyło się jeszcze rozproszyć i znużyć. Gdybym była takiego człowieka spotkała!...

(C. d. n)

Z tygodnia.

Odpowiedź państw centralnych na notę papieża.

Odpowiedź Austro-Węgier.

Odpowiedź cesarza Karola na notę papieża z 1 sierpnia, wręczona 20 b. m. przez ministra spraw zagranicznych nuncyuszowi papieskiemu, opiewa w tłumaczeniu, jak następuje:

„Ojcze Święty!

Z winnym szacunkiem i głębokiem wzruszeniem powzięliśmy wiadomość o nowym kroku, który Wasza Świątobliwość, wypełniając poruczony Mu przez Boga święty urząd, zrobiła u nas i u naczelników innych państw wojujących, w tym szlachetnym zamiarze, by ciężko doświadczone ludy doprowadzić do takiej zgody, któraby im przyniosła pokój. Z wdzięcznem sercem przyjmujemy ten nowy dar ojcowskiej opieki, którą Ty, Ojcze Święty, otaczasz zawsze wszystkie ludy bez różnicy, i witamy z głębi naszej duszy to porywające upomnienie, które Wasza Świątobliwość wystosowała do rządów wojujących ludów.

Podczas tej okrutnej wojny zawsze spoglądaliśmy ku Waszej Świątobliwości, jako tej najwyższej osobistości, która, mocą Swego nadziemskiego posłannictwa i, dzięki górnemu pojmowaniu Swoich obowiązków, stoi wysoko ponad wojującymi ludami i która, nieprzystępna wszelkiemu wpływowi, mogłaby znaleźć drogę, prowadzącą do urzeczywistnienia naszego własnego życzenia: do trwałego i dla wszystkich stron honorowego pokoju.

Od kiedy wstąpiliśmy na tron naszych przodków, świadomi w pełni tej odpowiedzialności, jaką mamy przed Bogiem i ludźmi za powierzony nam los monarchii austro-węgierskiej, nigdy nie spuściliśmy z oka tego wysokiego celu, żeby nasze ludy jak najrychlej znowu brały udział w błogosławieństwach pokoju. Wnet po objęciu przez nas rządów było też nam dane wespół z naszym sprzymierzeńcem podjąć krok do utorowania zaszczytnego i trwałego pokoju, krok rozważony i przygotowany już przez naszego wzniosłego poprzednika, ś. p. cesarza i króla Franciszka Józefa I. W naszej mowie tronowej, wypowiedzianej przy otwarciu austryackiej Rady państwa, daliśmy temu życzeniu wyraz i przytem podkreśliliśmy, że dążymy do pokoju, któryby dalsze życie ludów uwolnił od zawiści i mściwości i którytby je przez długie pokolenia zabezpieczył przed użyciem siły zbrojnej.

Nasz wspólny rząd tymczasem nie omieszkał w kilkakrotnych i stanowczych, słyszalnych dla całego świata oświadczeniach wyrazić wolę naszą i ludów austro-węgierskiej monarchii, żeby przelewowi krwi położyć kres przez pokój taki, jaki Wasza Świątobliwość sam ma na myśli Uszczęśliwieni myślą, że nasze życzenia od początku skierowane były ku temu samemu celowi, który Wasza Świątobliwość dziś wskazuje jako właściwy, sumiennie rozważyliśmy otrzymane niedawno konkretne i praktyczne projekty Waszej Świątobliwości, a badanie to doprowadziło do następującego wyniku:

Z najgłębszego przekonania witamy przewodnią myśl Waszej Świątobliwości, że przyszły porządek świata musi się oprzeć na moralnej potędze prawa, na panowaniu międzynarodowej sprawiedliwości i prawowitości, a siła oręża ma być wykluczona. Także my jesteśmy przejęci nadzieją, że podniesienie świadomości prawa odrodzi ludzkość pod względem moralnym. Przyłączamy się tedy do zapatrywania Waszej Świątobliwości, że rokowania stron wojujących mogłyby i powinnyby doprowadzić do porozumienia co do tego, w jaki sposób, stwarzając odpowiednie rękojmie, należałoby ograniczyć równocześnie, wzajemnie i stopniowo do pewnej oznaczonej miary zbrojenia na lądzie, na morzu i w powietrzu i w jaki sposób pełne morze, należące się słusznie wszystkim ludom ziemi, możnaby uwolnić od panowania czy też hegemonii niektórych ludów, a od dać je do równomiernego użytku wszystkich. W pełni rozumiejąc, jakie znaczenie może dać sprawie pokoju zaproponowany przez Waszą Świątobliwość środek, żeby międzynarodowe kwestye sporne oddawać obowiązkowo sądownictwu rozjemczemu, jesteśmy gotowi rozpocząć rokowania także nad tym projektem Waszej Świątobliwości.

Gdyby, czego sobie z całego serca życzymy, udało się osiągnąć takie układy stron wojujących, któreby urzeczywistniały te szczytne myśli i przez to dawałyby austryacko-węgierskiej monarchii pewność dalszego nietamowanego rozwoju, wtedy nie będzie też trudno inne kwestye sporne między państwami wojującemi rozwiązać zadawalająco w duchu sprawiedliwości i słusznego uwzględnienia wzajemnych warunków egzystencyi. Gdyby ludy ziemi rozpoczęły z sobą rokowania w myśl propozycyi Waszej Świątobliwości, chętne pokoju, wtedy mógłby stąd zakwitnąć trwały pokój; mogłyby osiągnąć zupełną swobodę ruchów na morzu, ulżyłoby się im gniotących materyalnych ciężarów, a otwarłyby się dla nich nowe źródła dobrobytu. Ożywieni duchem umiarkowania i pojednawczości, upatrujemy w propozycyach Waszej Świątobliwości stosowne podstawy do wdrożenia rokowań celem przygotowania sprawiedliwego dla wszystkich i trwałego pokoju i mamy niepłonną nadzieję, że także nasi dzisiejsi nieprzyjaciele może są ożywieni tą samą myślą. W tej intencyi prosimy Wszechmocnego, by pobłogosławił dzieło pokoju, zainicyowane przez Waszą Świątobliwość.

Mamy zaszczyt kreślić się Waszej Świątobliwości bardzo posłusznym synem. . *Karol* m. p.“

Odpowiedź Niemiec.

Odpowiedź niemieckiego rządu na manifest pokojowy papieża, datowana 19 września i adresowana do kardynała ks. Gasparry'ego, sekretarza Jego Świątobliwości Benedykta XV, w Rzymie, przypomina, że cesarz wiernie dochował przez 26 lat swoich rządów ślubów, złożonych w pierwszej mowie tronowej przy otwarciu parlamentu niemieckiego dnia 25. czerwca 1888 r. W ślubach tych oświadczył, iż jego miłość dla wojska nigdy nie doprowadzi go do pokusy uszczuplenia państwu dobrodziejstw pokoju, chyba, gdyby się zdarzyła wojna narzucona i konieczna wskutek ataku nieprzyjaciela na państwo, lub jego sprzymierzeńców. Sztuby te cesarz czynem utwierdził. Także podczas przesilenia, które doprowadziło do teraźniejszego pożaru światowego, do ostatniej chwili było dążeniem monarchy załagodzić spór środkami pokojowymi.

Gdy wojna wybuchła, cesarz wraz ze sprzymierzeńcami pierwszy objawił gotowość rozpoczęcia rokowań pokojowych. Poza monarchą stał naród niemiecki z silną wolą pokoju. Niemcy starały się o swobodny rozwój swoich dóbr duchowych i materyalnych w obrębie swoich narodowych granic, zaś poza obrębem obszaru państwa konkurowały z równouprawnionymi i równouważanymi narodami. Nieszczęsny splot wydarzeń w r. 1914 przerwał rozwój pełen nadziei i przemienił Europę w krwawe pobojowisko.

Z nadzwyczajną sympatyą wita rząd cesarski przewodnią myśl odezwy papieskiej, w której Papież w pewny sposób wyraża przekonanie, że w przyszłości w miejsce materyalnej siły oręża musi nastać moralna siła prawa. Podzielamy zapatrywanie Jego Świątobliwości, że konkretne normy i rękojmie dla równoczesnego i wzajemnego ograniczenia zbrojeń na lądzie, morzu i powietrzu i dla prawdziwej wolności i wspólności mórz są sprawami, przy których ujawnić się powinien nowy duch i on w przyszłości powinien panować we wzajemnych stosunkach państw. Wypływie stąd takie zadanie, by spory międzynarodowe rozstrzygać nie przez powoływanie sił zbrojnych, lecz środkami pokojowymi, zwłaszcza przez postępowanie rozjemcze, którego oddziaływanie pokojowe uznajemy tak samo, jak Jego Świątobliwość.

Rząd cesarski poprze przytem wszelkie propozycye, zgodne z żywotnymi interesami państwa i narodu niemieckiego. Niemcy, wskutek swojego położenia geograficznego i swych potrzeb gospodarczych, skłonne są do pokojowego współżycia z sąsiadami i daleką zagranicą. Żaden naród bardziej, niż Niemcy, nie ma powodu pragnąć, by, zamiast ogólnej nienawiści i walki, zapanował między narodami duch pojednawczy i braterski. Jeżeli narody, tym duchem wiedzione, uznają, że rozchodzi się o to, by w swoich stosunkach podkreślać to, co jednoczy, a nie to. co dzieli, to uda się im uregulować niezałatwione jeszcze sprawy sporne w ten sposób, że dla każdego narodu stworzy się zadawalające warunki bytu, a tem samem będzie wykluczony powrót wielkiej katastrofy międzynarodowej. Tylko pod tym warunkiem może być ugruntowany trwały pokój, może nastąpić ponowne duchowe zbliżenie i gospodarcze odżycie społeczeństwa ludzkiego. To poważne i szczere przekonanie utwierdza w nas ufność, że także nasi przeciwnicy zechcą upatrywać w myśli, poddanej przez Jego Świątobliwość pod rozwagę, odpowiednią podstawę do tego, by pod warunkami, odpowiadającymi duchowi słuszności i sytuacyi Europy, zbliżyć się do przygotowania przyszłego pokoju.

Nastrój ludności na Litwie w oświetleniu urzędowem.

Warszawska „Teka“ donosi:

„Zarząd wojskowy okręgu Wilno—Suwałki składa ze swej działalności co kwartał wyczerpujące sprawozdania. Każde takie sprawozdanie wieńczy ustęp, charakteryzujący „Stimmung der Bevölkerung“. Cztery poniższe, następujące po sobie charakterystyki, wymownie przedstawiają stopniową zmianę nastroju ludności:

Sprawozdanie z roku 1915. Polityka gwałtownej rusyfikacyi zapomocą gnębienia wszystkich narodowych i religijnych właściwości, tudzież samowola rosyjskiej biurokracyi wywołała niechęć, a w wielu wypadkach nienawiść do rządu rosyjskiego. Do dawnej niechęci przyłączyła się podczas wojny obawa przed bezwzględnymi sposobami prowadzenia wojny przez Rosyę, tak, że wojska niemieckie, wkraczające do Wilna, witane były jako oswobodziciele. Nastrój przyjazny dla Niemiec istnieje jeszcze obecnie, jakkolwiek nie można nie podkreślić, że upadek przemysłu i handlu, beznadziejne położenie rolnictwa, wzrastająca nędza i drożyzna zawiodły nadzieje wielu mieszkańców, którzy oczekiwali od Niemców usunięcia wszelkich gospodarczych trosk. Na ogół można powiedzieć, że ludność niczego tak się teraz nie obawia, jak powrotu rosyjskiej przemocy.

Sympatya dla Niemców pochodzi głównie z odrazy do Rosyi. Ze zwycięstwem mocarstw centralnych łączą nadzieję urzeczywistnienia dawnych politycznych pragnień, które głównie skierowują się na uzyskanie autonomii z przewagą własnej narodowości. Panuje zupełna niejasność co do celów ostatecznych. Przeciwieństwa pomiędzy poszczególnemi narodowościami zaostrzają się raczej, niż słabną, wskutek takich pragnień — obecnie w czasie wojny występują one wszakże tylko wypadkowo, gdy zagrad kraju wzywa do wspólnej pracy dla kraju.

Sprawozdanie z I kwartału 1916 r. Niepewność, jaką będzie przyszłość kraju, zmusza ludność, o ile wogóle interesuje się kwestyami politycznemi, do zajęcia wyczekującego stanowiska. Pomiędzy Polakami i Litwinami ilość rusofilów nie jest duża, większość inteligencyi spodziewa się, że kraj otrzyma po zawarciu pokoju pewne prawa do stanowienia o sobie. Polacy pragnęliby przytem połączenia z dawnem Królestwem Polskiem. Ponieważ nie bez słuszności spodziewają się, że decyzya o przyszłym losie kraju zależeć będzie także od stosunków liczebnych i od gospodarczego i kulturalnego znaczenia narodowości, rozwinęli Polacy i Litwini żywą działalność celem rozszerzenia wpływów narodowych, przedewszystkiem w dziedzinie szkolnictwa. Niemieckie władze musiały kilkakrotnie wkraczać z powodu tendencyi do zmiany narodowego stanu posiadania i do zakłócenia spokoju pomiędzy ludnością. Tendencye te nie kierowały się przeciw działalności władz niemieckich, które prawie wszędzie napotykały na uprzejmość, a częściowo znalazły i uznanie. Nastrój ludności staje się bardzo przygnębionym wskutek wzrastającej biedy.

Sprawozdanie z II kwartału 1916 r. Nastrój ludności w zasadzie nie uległ od ostatniego sprawozdania żadnym zmianom. Wiadomości o wzrastającej działalności bojowej w ostatnich czasach szerzyły widocznie wiarę wśród ludności, że Rosyanie wkrótce powrócą.

Litwini zajmują, znajdując się pod wpływem swego duchowieństwa, stanowisko wyczekujące. W okręgu wyłkowyskim mnożą się oznaki wcale nie nikłego antiniemieckiego nastroju, który wyraża się przedewszystkiem w pewnego rodzaju biernym oporze wobec rozporządzeń władz administracyjnych. Także w okręgu Sejny zdarzyło się kilka wypadków oporu ze strony Litwinów, w pierwszym rzędzie przy poborze podatków.

Sprawozdanie z III kwartału 1916 r. Nakazane koniecznościami wojny rozporządzenia gospodarcze, jak przymus oddania produktów, pociąganie do pracy ręcznej i do przewozów, przedewszystkiem jednak wciągnięcie ludności cywilnej do pracy i surowe przepisy wszelkiego rodzaju wywołały bardzo wybitną niechęć do niemieckiego panowania. Obowiązek płacenia podatków ludność uważa za nader wielki ciężar. Podczas, gdy w niektórych częściach okręgu Sejny uiszczanie podatków poszło gładko, szereg innych wsi, porozumiawszy się ze sobą, w ostatnich czasach znowu wzbraniał się złożyć zapłatę i tylko wskutek energicznego zachowania się odnośnych organów służbowych przyszło do złożenia zapłaty bez wzniecenia wyraźnych niepokojów“.

Kronika tygodniowa.

Nowocześni meteorologowie, referenci tych spraw w pismach codziennych, są na błędnej drodze, nazywając pogodę i ciepło z ubiegłego tygodnia „babiem latem". Do 24. września mamy jeszcze lato astronomiczne, na „babie" przyjdzie czas później. Zresztą towarzyszyć mu muszą pajęczyny, stanowiące cechę charakterystyczną „babiego lata", a tych dotąd nie widzieliśmy, choć słychać tu i ówdzie, że ich wogóle nie zobaczymy, gdyż zostały w drodze urzędowej zarekwirowane na pokrycie zapotrzebowań ogółu. Mianowicie udało się podobno z pajęczyn sporządzić bardzo delikatną a trwałą tkaninę, która może bardzo dobrze zastąpić sukno, tak dziś drogie, iż o kupnie nowego ubrania, nie z wełny bynajmniej, ani nawet z bawełny, ale z naszych pokrzyw sporządzonego, ani myśleć. Pajęczyna ma zresztą to do siebie, iż tkanina z niej sporządzona jest bardzo delikatną i ułatwia transpiracyę skóry, co z hygienicznych względów jest wskazanem, nie jest też tak czułą podobno na wilgoć, jak włókno pokrzywy. Ubrania z pajęczyny dotąd nie miałem, niedawno natomiast zafundowałem sobie okrycie cielesnej powłoki z pokrzyw i skonstatowałem na własne oczy, iż, pod wpływem kropli dżdżu, jakim nas wówczas zupełnie niepotrzebnie niebiosa uraczyły, nogawice „niewymownych", sięgające przedtem do pięt, sięgały potem tylko po kolana, w równej mierze uległa skurczeniu także i marynarka. Chciałem z tego powodu zrobić awanturę kupcowi, który mi za drogie pieniądze sprzedał podobną, jak się wyraziłem delikatnie „lichotę", ale on zamknął mi usta, nim miałem je czas otworzyć, pytając naiwnie:

— Pan dobrodziej może był w tem ubraniu na deszczu?...

Tem odezwaniem się rozbroił mnie zupełnie, a gdy mnie jeszcze przekonał, że teraz mam za tanie pieniądze kostyum sportowy (poczciwy, nie żądał za to skurczenie się i następującą po niem metamorfozę żadnej dopłaty!..), przyznałem mu zupełną racyę.

— Pan kochany zapewne grywa w piłkę nożną? — zapytał mnie na odchodnem. — Akurat ten kostyum do tego celu się nadaje!... Ja sam innego nie używam! Musiał pan czytać w *Kuryerku*, że kiedyś strzeliłem bramkę!...

— A strzelaj pan sobie, jeśli się panu to podoba. Skąd ja jednak przychodzę do tego, bym wyrzucał na ulicę pieniądze? — broniłem się jeszcze z uporem.

— To nie jest bynajmniej żadne wyrzucanie! — odpowiedział. — Muszę panu dobrodziejowi powiedzieć, a, że mówię prawdę, daję na to moje kupieckie słowo, że jest panu w tem ubraniu nadzwyczaj do twarzy!... Proszę tylko spojrzeć do lustra z przodu lub z tyłu...

— Ani mi się śni!...

— Zresztą — tu wygrał już ostatni atut i na to mnie wziął ostatecznie — teraz coraz cięższe czasy. Chudniemy wszyscy, więc też i dobrze się stało, że się ubranie skurczyło, gdyż w przeciwnym razie wisiałoby na dobrodzieju, jak, nie przymierzając, na kołku, a ja musiałbym się wstydzić, że to wyszło z mego składu!...

Ubrania natomiast z pajęczyny mają mieć tę wyższość nad zrobionemi z pokrzyw, iż nie będą się tak kurczyć, choć i „pokrzywowe" mają swoje dobre strony.

Niedawno spotkałem pewnego dziennikarza, więc kolegę po piórze, i w ciągu rozmowy zauważyłem, iż od pewnego czasu artykuły jego cechuje pewna doza złośliwości, dawniej mu obca.

— Hm! Nic dziwnego, mój drogi! — Mam ubranie z pokrzyw, a wiadomo, że ono wywiera swój wpływ, dotąd nieokreślony naukowo, stale i na organizm cały, który w niem tkwi!...

Jeśli to ma być prawdą, pomyślałem, w takim razie jestem ciekawy, jaki wpływ wywrą na nas ubrania, zrobione z pajęczyny. Pająk, jak wiadomo, to stworzenie bezwzględne, chciwe, podstępne i żarłoczne, jeślibyśmy więc mieli pójść w jego ślady, to ładnie wyglądałby świat i tak dziś już wiele do życzenia pozostawiający, choć dodzieramy ubrań, sporządzonych z wełny niewinnych owieczek i potulnych baranków!

Zgłosiła się też do mnie jedna z Czytelniczek, stara panna, hodująca w słoiku pająka, który jej wyciąga numery loteryjne (dotąd jeszcze nic nie wygrała...), z zapytaniem, czy materya z pajęczyny nie będzie przypadkowo zbyt przejrzystą. Jeśli nie, w takim razie ona gotowa jest zupełnie bezinteresownie oddać swego „pajączka" dla wygody i pożytku ogółu. Pocieszyłem ją, że te ubrania z pajęczyny to prawdopodobnie taki sam humbug, jak ów cudowny środek spożywczy, który gdzieś tam zaczęto już fabrycznie nawet wyrabiać, ale widocznie rozdział jego objęła jakaś centrala, skoro go dotąd nie widać.

Dajmy temu przecież spokój, bo nuż kronikarz się myli?... Widzę że owa pajęczyna, choć „babiego lata" jeszcze niema, zbyt daleko mnie uniosła, zawracam też z drogi, zastrzegając sobie na właściwy czas zabranie głosu w tej sprawie. Mam na myśli „babie lato", gdzieś w początkach października, jak to było po inne lata. Kobiety nie darowałyby, gdyby miały być ukrócone w swych prawach. Miały zawsze swe „lato", muszą mieć je i teraz, choć wojna.

Myli się także ów meteorolog, który na karb „babiego lata" kładzie naprzykrzanie się much rodzajowi ludzkiemu. W ten sposób postępują muchy z zasady przy końcu każdego lata astronomicznego, chcąc użyć na naszych łysinach przyjemności, zanim zapadną w sen zimowy, podczas którego, szczęśliwe, obchodzą się bez jedzenia, picia, opału i t. d.

Tego im można naprawdę pozazdrościć, choć znów z drugiej strony powinien człowiek być zadowolony, iż ma tylko dwie nogi, a nie sześć, jak mucha. Ładnie wyglądałby ojciec rodziny, mający kilka osób zaopatrzyć w obuwie... Dziś, gdy mamy tylko po dwie nogi, z taką to przychodzi trudnością, a cóż dopiero byłoby wówczas!... Aż się człowiekowi zimno robi na samo wspomnienie!

Wkońcu w ubiegły piątek mieliśmy popołudniu tak miłą pogodę, połączoną z wiatrem, kurzem i t. d., że niewiasty powinny się obrazić na tego, kto ten odcinek czasu poważył się nazwać „babiem latem".

Zapytywano mnie z kilku stron o me cenne zdanie, z jakiej platformy (nie wiem tylko, politycznej, czy artystycznej) zapatruję się na kwestyę pomnika Kościuszki w Krakowie.

Stuletnia rocznica zgonu Naczelnika przypomniała Krakowianom, iż w gościnnych murach Strażnicy pożarnej czeka „na lepsze czasy" pomnik, ale doczekać się ich nie może.

Już to przyznać trzeba, że Kraków wogóle nie ma szczęścia do pomników. Najmniej kłopotów było z pomnikiem Jagiełły, ale to tylko dlatego, iż znalazł się wspaniałomyślny ofiarodawca, który pomnik kazał zrobić swoim kosztem i na swój koszt go postawił, gdyby bowiem i ta „pomnikowa sprawa" miała była pójść zwykłą drogą komitetów, komisyi i ankiet, z pewnością realizacyi doczekałaby się w dniu... sześćsetletniej rocznicy zwycięstwa grunwaldzkiego, jeśli nie później! Pamiętamy przecież, ile to zmartwień miał Kraków z pomnikiem Mickiewicza, jak długo czekał i dotąd cierpliwie czeka na pomnik Kazimierza Wielkiego, na co, o ile się nie mylę, jeszcze ś. p. dr. Warschauer rozpoczął zbierać fundusze.

To przynajmniej dobre, że pomnik Kościuszki już jest gotowy, ale to znów bieda, iż Krakowianie nie mogą się na to zdecydować, czy go wogóle postawić, a jeśli już tak musi być, to gdzie?... Jedni mówią, że jedynem dlań miejscem jest Rynek główny, inni są zdania wprost przeciwnego i radzi widzieliby go tam, skąd go wogóle nie będzie widać, więc, dajmy na to, na szczycie kopca. Są nawet tacy, którzy utrzymują, że na podwórzu koszar Straży ogniowej jest mu bardzo dobrze i wygodnie, gdy natomiast na Rynku psułby tylko harmonię konserwatywną i dziwnie odbijałby na przykład od stylowego komina na odwachu. Projektu jakiegoś humorysty, by go umieścić na szczycie wieży ratuszowej, dotąd nasi estetycy poważnie nie wzięli w rachubę, choć byłoby to, mojem zdaniem, jedynie racyonalnem rozstrzygnięciem tego „pomnikowego węzła". Pomnik byłby *de facto* na Rynku, ale równocześnie także nie byłoby go, a o to właśnie chodzi, by nie zabierał niepotrzebnie miejsca, przeznaczonego na pomniki dla współczesnych wielkości, dla których jedynie Rynek mógłby być odpowiednim, choćby tylko z tego powodu, iż dzięki im jedynie wybrukowano go, wyasfaltowano, odrutowano.

A może udałoby się zadowolić i jednych i drugich, a to w ten sposób, że pomnik zaopatrzy się w kółka i przewozić go będzie z miejsca na miejsce, w miarę tego, kto byłby w danej chwili „przy głosie".

Widać też z tego, że Kraków ma już dość pomników i powiada sobie: „Te, które są, najzupełniej mi wystarczą".

Niechaj się jednak nie obawiają ci, którzy ze względów politycznych radzi byliby, jeśli już muszą koniecznie widzieć ten pomnik to, o ile możności jak najdalej. Konserwatywnej patynie Rynku krakowskiego nic on nie zaszkodzi, na zbytnie podniecenie i rozbudzenie ducha narodowego nie wpłynie, bo duch ten już dawno rozbudzony, choć oni go gasić chcieli. Także nie mogą tu wchodzić w rachubę względy estetyczne, skoro nie kierowano się nimi przy budowie kamienicy „cukierkowej" pana Czynciela, lub domu, gdzie się mieści kawiarnia „Secesya". Wówczas panowie estetycy i konserwatorowie zachowali głębokie milczenie.

Ogół Krakowian pragnie widzieć pomnik Kościuszki na Rynku i tam się też stać powinno bez oglądania się na rozmaite „ewakuacyjne" projekty. Kraków przestał być już twierdzą, zmora ewakuacyi przestała grozić ludziom, niechaj więc nie dokucza i pomnikom.

By na dzień obchodu stuletniej rocznicy zgonu Naczelnika pomnik mógł się znaleźć już na swem miejscu, o tem i marzyć nie można, ale w każdym razie powinno się to stać już w najbliższej przyszłości o ile znów, po usunięciu szczęśliwem innych przeszkód, nie wyłonią się nowe, natury... finansowej. Bo to u nas tak się już zwykle dzieje, że pieniądze są na to, co niepotrzebne, brak ich zaś tam, gdzie są naprawdę konieczne.

Sprawę „pomnikową" uważam więc w ten sposób za omówioną należycie i nie zgniewam się bynajmniej, jeśli ktoś z P. T. Czytelników jest innego zdania, bo i ja, przyznam się szczerze, z większem zainteresowaniem czytałbym dziś artykuł, na przykład, o ułatwieniu abonamentu w miejskich kuchniach wojennych, niż narzekania prasy na utrudnienia przy nabywaniu biletów abonamentowych na premiery w Teatrze miejskim. Czytam jednak, skoro to wydrukowano i nic nie mówię, niechaj więc w ten sam sposób postąpią ci, którzy w sprawie pomnika ze mną się nie zgadzają.

Quot capita, tot sensus!...

Ponieważ dawno już nie zajmowałem się dniami bezmięsnymi, dziś postanowiłem to uczynić ze względu na okoliczność, iż zapowiadają rzekomo zupełne ich zniesienie, a zaprowadzenie natomiast drugiego dnia beztłuszczowego w tygodniu. Wtajemniczeni w *arcana* kuchenne twierdzą wprawdzie, że w najbliższej już przyszłości wogóle tłuszczów nie będzie i zaopatrują się w nie na gwałt, ja przecież w to nie wierzę i z tego powodu zapasów na czarną godzinę nie robię.

Zniesienie dni bezmięsnych, to dowód, że mamy dość bydła, przeznaczonego na rzeź, jeżeli tak jednak jest w istocie, to może to być tylko następstwem braku paszy. Nie mogąc bydła hodować, sprzedaje się je pod nóż, następstwem czego musi być w niedalekiej znów przyszłości zaprowadzenie napowrót dni bezmięsnych, ale siedm razy w tygodniu. Wtedy to braknie i tłuszczów, gdyż, na razie przynajmniej, nie potrafimy ich jeszcze wytwarzać z powietrza.

Wojna nauczyła nas jednak tylu już rzeczy, że nauczy bezwątpienia i obchodzenia się bez mięsa i tłuszczów, możemy więc z otuchą spoglądać w przyszłość i czekać...

Ale na co?... Tego sam nie wiem, bo w koniec wojny już wierzyć przestałem. Wprawdzie coraz częściej czytamy teraz o różnych projektach pokojowych, słowo zaś „pokój" powtarza się stale we wszystkich przypadkach i obu liczbach na szpaltach naszych pism politycznych, iż można żywić nadzieję, że Marsowi sprzykrzyło się już panowanie nad światem, ale również dobrze może to być przygotowaniem do czegoś zupełnie przeciwnego. Siódma pożyczka wojenna jest niedaleka, nic natomiast nie słychać o pożyczce pokojowej, która dla każdego byłaby bardziej sympatyczną.

Tak, czy owak będzie, w każdym razie zda nam się na coś doświadczenie, jakiego nabyliśmy w wojennym czasie. Dowodem tego ów złodziej, który we Wrocławiu, przy wykonywaniu swego zawodu posługiwał się najnowszymi wynalazkami wojennymi, używał bowiem, kradnąc gęsi i świnie, gazów odurzających z zupełnie dobrym rezultatem, choć wkońcu sam się dostał do ula. Atak gazowy powiódł mu się zupełnie, ale widocznie wybrał sobie nieodpowiedni „odcinek" skoro dosięgła go ręka karzącej sprawiedliwości, która, aczkolwiek przedstawia się ją z zawiązanemi oczyma, widzi przecież dobrze, choć, prawdę rzekłszy, nie zawsze...

A czy nie przyda nam się taki, dajmy na to, wynalazek wojenny, jak fabrykowanie prawdziwej kawy cejlońskiej z palonego łubinu, czego na wielką skalę dokonywano w Tarnowie. Niestety, i tu Temida miała coś do powiedzenia, zamykając poszczególnych spekulantów i nakładając na nich dotkliwe grzywny. Narzekają też teraz, że są oni męczennikami w imię... przemysłu krajowego.

A takich „męczenników" jest całe zatrzęsienie i byłoby bardzo wskazanem, by wszyscy znaleźli się tam, gdzie „cierpieli" ich tarnowscy koledzy i koleżanki, bo i płeć nadobna była też między nimi reprezentowaną.

Na zakończenie, bardzo radosna wiadomość, ale bynajmniej nie o pokoju, jak się tego może P. T. Czytelnicy spodziewają, ale o... zmniejszeniu się nasilenia czerwonki w Krakowie.

Tak nas przynajmniej zapewnia oficyalne zawiadomienie miejskiego Urzędu zdrowia (raczej chorób wszelakich...).

A kto jej dał radę?... — spyta kto może... Jeżeli myślicie, że fizykat, to jesteście w błędzie, dogodził jej jakiś były służący z Hotelu Europejskiego, lekarz cudotwórca, jak się przekonałem z podziękowań, zamieszczonych w *Kuryerku*...

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka literacka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Znaleźć tytuły utworów wymienionych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na doł, utworzą nazwisko polskiego malarza (dwa wyrazy).

Lessing?
Lessing?
Dostojewski?
Crawford?
Tołstoj?
Kippling?
Corelli?
Heine?
Gorkij?
Wilde?
Göthe?
Kippling?
Turgeniew?
Byron?
Strindberg?
Kippling?
Scott?

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył W. Krupicki, Dębica.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) - - - o - a - - a - u i a - - a - u!
2) - ie - a - - y - i - o - o - e - , - o - - ó - - y - - i - ie - a - - ?

Łamigłówka kryształowa.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, pionowy i poziomy, utworzy nazwisko zasłużonego Ateńczyka.

```
                □
            —   □   —
        —   —   □   —   —
    —   —   —   □   —   —   —
□   □   □   □   □   □   □   □   □
    —   —   —   □   —   —   —
        —   —   □   —   —
            —   □   —
                □
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Roślina. 3. Kwiat ogrodowy. 4. Ruda żelaza. 5. Szukany wyraz. 6. Kraj w Azyi Mniejszej. 7. Rzeka we Francyi. 8. Głos. 9. Spółgłoska.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Przez dodanie spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) - a - - y - a - - - y - i, - a - - o - e.
2) - a - y - - u - ą - o - - eo - y - - a - e.

Szarada.
Ułożyła E. Szumańska, Rawa Ruska.

Z dwu głosek się składam,
Trudu więc nie zadam:
Pierwsza, powtarzana,
Dzieciom dobrze znana.
Druga pomoc daje,
Gdy ból ciało kraje
I biedne ludziska
Cierpienie uciska.
Całość, dzikie ziele,
Po drogach się ściele,
Zna je każdy przecie,
Nawet chłopskie dziecię!

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Łeś je w bryczce Heli słój śliw z masłem duchów, aby.

Logogryf.
Ułożył J. Sosenko, poczta pol. 286.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, poda nazwisko znanego powieściopisarza, znawcy stosunków rosyjskich, ostatni, z dołu do góry, tytuł jego dzieła.

```
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
```

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej nauka moralna. 2. Zdrobniałe imię męskie. 3. Miejscowość pod Lwowem. 4. Zasłona. 5. Domowy młynek. 6. Przełożeństwo gminy izraelickiej. 7. Miejscowość, znana z „Potopu“. 8. Szczyt, w narzeczu góralskiem. 9. Miasto w Serbii. 10. Nazwisko, znane w historyi polskiej. 11. Religia.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Szachu! Podaj Kachnie macki! Jan U.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Sęp w guni wozi teraz mnie pokrzywy. E!

Bilety wizytowe.
Ułożył H. Fiodur, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

TINA KASPI

ANNA KOZIC

D. R. I. KONGO.

A. S. TARGONI

E. P. Z RYLNA SŁOMKA.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Eugenii Żmijewskiej*: **Książę Pan.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 37.

Łamigłówka:

Bona
obol
Sawa
klen
baśń
owca
klin
plik
wola
szum
kosa
wota
kora
plen
nawa
stan
Etna
oset

Grzebieniówka:

G	r	a	b	o	w	s	k	i	S	t	e	f	a	n
a		l		k		i		n		a		r		u
r		h		u		e		d		r		y		n
d		a		p		r		u		l		d		c
ł		m		a		ż		k		a		e		y
a		b		c		a		t		t		r		u
c		r		y		n		o		a		y		s
z		a		a		t		r		n		k		z

Łamigłówka literacka:

Kamień filozoficzny.
Asan.
Requiem aeternam.
Ofiara królewny.
Listy do cudzej żony
Dzieci niedoli.
Idealiści.
Czyste ręce
Kniaź Patiomkin.
Echa.
Nemezys życia.
Stella Tafłówna.

Zadanie do przestawienia: Wart pałac Paca, a Pac pałaca.

Zadanie do przestawienia: Skąpy nabija w kąty.

Kwadrat magiczny:

L	u	d	w	i	s	a	r	z
t	e	r	m	o	m	e	t	r
A	r	g	o	n	a	u	c	i
k	o	m	i	n	i	a	r	z
g	r	e	n	o	s	t	a	j
z	a	k	o	n	n	i	c	a
S	z	t	o	k	h	o	l	m
k	u	r	o	p	a	t	w	a
M	o	n	i	u	s	z	k	o

Zadanie do przestawienia: Sen mara, Bóg wiara.

Zadanie do przestawienia: Czas, to pieniądz

Bilety wizytowe: Landrat. Kasyer. Chemik. Ogniomistrz. Szlifierz

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Łodyńska Kraków, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Pianecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, S. Drozdowski Lwów, K. Garlicki, Tarnów, J. Kozłowski Lwów, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, W. Majewska Stryj, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów. M. Golska Wiedeń, M. Raczyńska Lwów, W. Nowiński Tarnów, R. Wójcik Przemyśl, Z. Małecki Lwów, S. Burzyński Jasło, M. Borkowska Przemyśl, Z. Walkowski Brzesko, H. Dziedzic Tarnów, L. Polański Przemyśl, Z. Ruszkowska Nowo Radomsk, J. Sosenko Munkacz

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Makowski Zakopane.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Zjazd przemysłowy w Krakowie. Towarzystwo popierania przemysłu kobiecego zgłosiło na Zjazd przemysłowy referaty pań: Dudrewiczowej z Zakopanego „O przemyśle koronkarskim“ i Antoniewiczówny z Makowa „O przemyśle hafciarskim“. Komitet organizacyjny, wobec zgłoszenia trzech referatów, projektuje, o ile się znajdzie odpowiednia liczba pań słuchaczek, utworzenie osobnej sekcyi przemysłu kobiecego. Panie, biorące udział tylko w obradach tej sekcyi, opłacałyby za kartę uczestnictwa 2 korony. Towarzystwo popierania przemysłu kobiecego urządza podczas Zjazdu w gmachu Uniwersytetu Jagiellońskiego pokaz wyrobów, prowadzonych przez to Towarzystwo warsztatów.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madajskiego.